

W numerze: BRONISŁAW GÓRECKI Szansa dla czterech tysięcy ● KRZYSZTOF POGORZELEC Ziemia bez cudów ● KAROL BADZIAK Monte Verde ● Turniej jednego wiersza ● „Konfrontacje - 69” ● Zawszqd o wszystkim ● Nowela kryminalna

odgłosy



5. IV. 1970 r.
14 (646)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot. W. Prysz

ZBYCH MIKLASZEWICZ

Asystenta portret załzawiony

Najprostsza droga do uzyskania stanowiska asystenta jest otrzymanie stypendium naukowego z uczelni. Student, który przez cztery kolejne semestry otrzymał średnią ocenę powyżej „4”, może się o nie z powodzeniem ubiegać. Tak więc już na trzecim roku dobry student staje przed problemem: wziąć stypendium naukowe, a więc pozostać na uczelni w charakterze asystenta, czy też nie. Z reguły suma zł. 670, jaką wypłaca się stypendystom oraz czar określenia „naukowe” przeważa i dwudziestoletni człowiek determinuje swoją przyszłość — za kilka lat ma zasilić 18-tysięczną rzeszę asystentów w wyższych uczelniach.

Dla wielu praca naukowa jest marzeniem całego życia, dlatego też gdy możliwość zrealizowania marzenia staje się realna, bez wielkich namysłów stawiają swój podpis pod tekstem umowy. Są zbyt młodzi, przyzwyczajeni do sukcesów i udogodnień aby martwić się na przyszłość. O pieniądze, o mieszkanie. Jakoś to będzie.

Asystenci wywodzą się nie tylko ze stypendystów naukowych. Część z nich zdecydowała się na pozostanie w uczelni w ostatniej chwili, tuż po zrobieniu dyplomu. Były akurat etaty — wzięli. I w tym przypadku główną rolę odegrał mit pracy naukowej, jaką uprawiają asystenci.

Zdarza się, że niektórzy kierownicy katedr, obwarowani przepisami i limitami etatowymi, z wielką chęcią przyjmują na stanowisko asystenta każdego, kto na nie reflektuje. Nie wykorzystany etat i tak przypadnie, lepiej więc jest wziąć człowieka niezupełnie odpowiedniego, niż stracić okazję powiększenia katedry. Wielu młodych magistrów rozpoczyna asystencką karierę od stanowisk, z pracą naukową i dydaktyczną, nie mających nic wspólnego. Zatrudniani są na stanowiskach laborantów i pracowników techniczno-naukowych. Te etaty, wygospodarowane z tzw. gospodarstw pomocniczych są łatwiejsze do uzyskania. Po otrzymaniu etatów pracowników naukowych już oficjalnie stają się asystentami, lecz czasem, w bardziej atrakcyjnych katedrach, pracują na etatach zastępczych przez kilka lat.

Nowo przyjęty asystent jest zobowiązany do odbycia minimum rocznego stażu. Odbywa go w katedrze, w której ma pracować. Na studiach uczono go teorii. Tutaj także nie może nabyć wiedzy praktycznej,

Dalszy ciąg na str. 3

TERESA MILIŃSKA

Pamiętnik Krzysia

Do szkoły przyszedł kurator i milicjant. Kurator miał za ciśnięte usta i zmarszczone brwi. Chodziło im o Krzysia. To on wraz z dwoma schwytanymi już chłopcami dokonał włamania do sklepu. Ci sami wydali go. Krzysztofa nie było w szkole. Po zrobionej rewizji u niego w mieszkaniu nie znaleziono nic... oprócz małego, podniszczonego notesu, w którym zapisanych było parę kar tek. Pamiętnik ów, bo tak by mógł na było to nazwać, przyniósł do szkoły kurator, aby mógł przeczytać kierownik. Przypadkowo przeczytałam zdania skreślone ręką Krzysztofa:

„Masz mocne nerwy, jesteś kalwinem i masz duszę czarta”. Tak kiedyś mówiła mi jeszcze babka. Teraz powtarza to matka — bezna dziejna historyczka. Zrobiła dzisiaj awanturę, bo zauważyła, że brakuje jej w torebce dwadzieścia zło-

tych. Wmawiała, że to ja jej wzięłam, zresztą kogo miała posądzić? Ojca? A ja wiedziałem, że to on. Więc gwizdnąłem jemu, żeby oddać jej. I zostałem podwójnym zło dziejem. Matka nie spojrziała po raz drugi do torebki, a przecież ta dwudziestka leżała już tam. Ojciec obszukał wszystkie kieszenie, potem trzepnął mnie w pysk wierzchem dłoni. Nazwał mnie bandytą i kryminalistą. Matka dołożyła wtedy swoją zgubę i awantura, jakiej nie było. Uciekłem. Będę no cował u ciotki. Jest ona chyba jedną z normalniejszych osób w naszej rodzinie.

★ ★ ★

Nie chcę chodzić do szkoły. Brzydzą się każdą cyfrą. Nienawidzę piór, ołówków, linijek, ekierok, cyrkli. Skręca mnie na widok plansz biologicznych. A już zupełnie tra-

cę ochotę do życia, gdy słucham o sprawach, które nie mnie już nie obchodzą. Więc, gdy mam pieniądze, to idę do kina albo do parku, nieraz do kawiarni. Boję się, by nie powiadomiono starych. Robię to tak, by wszystko miało ręce i nogi.

★ ★ ★

Wzięłam matce dwadzieścia pięć złotych. Jeżeli raz posądziła mnie niestusnie, to tym razem będzie miała rację, chociaż raz.

★ ★ ★

Nie cierpię swoich starych. Ciągle się kłóca. Baśka, moja siostra, wczoraj nie wróciła na noc do domu. Matka wykrzykuje, że przyniesie jej w końcu bachora. Psiakrew, niech jej p. yniesie. Może gdyby była zaję-

ta czymś takim, nie wrzeszczałaby tyle.

★ ★ ★

Kumple dali mi kurtkę z podziemia. Niby mały skok, ale każdy z nas coś skorzystał. Zazdrościłem Edkowi golfa. Chciałem się z nim zamienić, ale on powiedział, że jak kradzione, to lepiej się nie zamieniać, bo to podobno zły znak. Mo że ma i rację. Zresztą ta kurtka nie jest wcale taka zła.

★ ★ ★

Przyszło do domu zawiadomienie ze szkoły, że nie chodzę na zajęcia. Miałem szczęście, że dostało się w moje ręce. Jutro pójdę do szkoły. Będę starał się przyrzec

Dalszy ciąg na str. 8



Wiosna 1970 zastała Europę rozdyskutowaną. Jednym z miejsc rozmów politycznych jest od końca marca także Berlin. Po 16 latach w gmachu Sojuszniczej Rady Kontroli w zachodniej części miasta spotkali się przedstawiciele czterech wielkich mocarstw byłej koalicji antyhitlerowskiej. Opublikowany po spotkaniu oficjalny komunikat zapowiada kolejną rundę rozmów ambasadorów (na tym bowiem szczeblu reprezentowane były cztery mocarstwa) na dzień 28 kwietnia, ustala poufność posiedzeń, podkreślając, że dla osiągnięcia postępu obrady powinny mieć minimum publiczności oraz zawiera stwierdzenie, iż „pierwsze spotkanie służyło wzajemnemu wyjaśnianiu stanowisk”.

Komunikat rozczarował wielu zachodnich komentatorów, którzy liczyli się z propagandowym charakterem rozmów, a więc i opublikowaniem stanowisk, co mogłoby dać im asumpt do kampanii prasowej. Jeśli tak się nie stało, to najprawdopodobniej dlatego, że wielkie mocarstwa chciałyby osiągnąć rzeczywisty postęp.

Nie będzie to łatwe, zważywszy różnice, jakie dzielą rozmawiające strony. Stany Zjednoczone i ich sojusznicy upatrują, jak się wydaje, głównego celu rozmów „w polepszeniu sytuacji Berlina na zachodnim”, Związek Radziecki natomiast gotów jest omówić sposoby i możliwości uniknięcia „kompliakacji w Berlinie i wokół tego miasta” także w kontekście interesów bezpieczeństwa europejskiego. Jest to płaszczyzna szersza, nie sprowadzająca rozmów tylko do spraw korzystania z dróg dojazdowych do Berlina zachodniego, czy też określenia warunków wzajemnych kontaktów między obu częściami miasta.

W przeszłości Berlin zachodni był często powodem wzrostu napięcia międzynarodowego. Także obecnie jest on raz po raz wykorzystywany przez NRF do manifestacyjnych aktów. Przy pominięciu na przykład, że obecny prezydent Niemieckiej Republiki Federalnej — Heinemann wybrany został na posiedzeniu Bundestagu, zwołanym do Berlina zachodniego. W ten i inny sposób Bonn demonstruje swe „prawo” do miasta i nie chce uszanować jego odrębności. Komplikuje to sytuację Berlina zachodniego. Jego burmistrz — Schuetz i inni przedstawiciele władz miejskich dawali niejednokrotnie do zrozumienia, że istnieje możliwość uregulowania tych spraw. Rozmowy berlińskie czterech mocarstw dają więc okazję do pełniejszego przedyskutowania jednej z ważniejszych kwestii współczesnej Europy i jej bezpieczeństwa — kwestii Berlina zachodniego.

Wzniesienie kontaktów czterech mocarstw i zapoczątkowanie po wieloletniej przerwie bezpośrednich rozmów ma jeszcze jeden istotny aspekt: może być wykorzystane do konsultacji w sprawach niemieckich, co wobec otwarcia dialogu NRF z krajami socjalistycznymi nie jest bez znaczenia.

Tę część komentarza zakończmy przypomnieniem trzech dat z kalendarza rozmów z NRF: pierwsza część kwietnia — wymiana poglądów z Polską, koniec kwietnia — rozmowy czterech mocarstw w Berlinie, trzecia dekada maja — kolejne spotkanie Brandt—Stoph (w Kassel).

A teraz poświęćmy nieco uwagi sytuacji rządowej we Włoszech. Czytelnik, uważnie śledzący doniesienia agencyjne, ze zdumieniem dowiedział się, że po prawie 50 dniach kryzysu nowy gabinet tworzy... Mariano Rumor. Tenże sam, który u początku obecnego — jednego z najpoważniejszych włoskich kryzysów złożył na ręce prezydenta dymisję gabinetu i który następnie bezowocnie zabiegał o sformowanie nowego rządu. Czy więc powrót do pozycji wyjściowej? Niezupełnie. Rumor tworzy bowiem obecnie rząd centrolewicowy, który ma się opierać na licznych kompromisach, osiągniętych w toku wielodniowych rozmów międzypartyjnych. Ich lista zawiera takie sprawy, jak: rozwiódł, rządu lokalne, data wyborów miejskich i komunalnych, amnestia dla związkowców, przeciwko którym prowadzono dochodzenia w związku z organizacją strajków, polityka gospodarcza i socjalna. Ten zbiór kompromisów jest platformą koalicji, na którą wchodzić w jej skład partie zgodziły się, przystąpiły do muru przewlekłym kryzysem i perspektywą przedterminowego rozpisania powszechnych wyborów. (Pisałmy już na tym miejscu, iż żadna z czterech koalicyjnych partii: chadecka, socjaldemokratyczna, socjalistyczna i republikańska nie były zainteresowane takimi wyborami).

Utworzenie nowego gabinetu w starym składzie koalicji nie rozwiązuje problemu. Korespondenci z Włoch piszą o poważnych obawach, czy rządy ekipy Rumora nie pogłębią wewnętrznych trudności kraju i nie spowodują kryzysu-giganta. Wtedy Włochy znalazłyby się na poważnym zakręcie.

W skład gabinetu Rumora, który w bieżącym tygodniu ma być zatwierdzony przez parlament, wchodzi 17 członków partii chrześcijańsko-demokratycznej, 6 — socjalistycznej, 3 — socjaldemokratycznej i 1 — republikańskiej. Tekę ministra spraw zagranicznych objął Aldo Moro, w czasie kryzysu jeden z kandydatów na premiera.

Zdaniem prasy włoskiej — pierwszym krokiem rządu musi być „stawienie czoła delikatnej sytuacji gospodarczej i zrobienie wszystkiego, aby wyprowadzić kraj z obecnej, niekorzystnej koniunktury ekonomicznej”.

W. ŚLAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

„Expo-70”

„TIME” — NOWY JORK

Milliony osób, zwiedzających światową wystawę Expo 70 ulegają przemożnym urokom dźwięków i aromatów. Teren wystawy, jak to zgodnie określają obserwatorzy, jest miejscem „współzawodnictwa da chów”.

Eksponaty wystawowe są równie zróżnicowane, co i architektura pawilonów wystawowych. Związek Radziecki, który obchodzi obecnie setną rocznicę urodzin Lenina, pokazuje osiągnięcia radzieckiej kultury i nauki. Stany Zjednoczone demonstrują okazy skał księżycowych, skafandry kosmonautów i makietę księżycowej kabiny statku kosmicznego „Apollo-11”. W ściany i sufit japońskiego pawilonu, obrazującego przemysł metalurgiczny, wmontowano 1300 małych głośników specjalnej konstrukcji, które witają zwiedzających „płesnią stali”.

Zwiedzający odpoczywają w uroczym japońskim ogrodzie o powierzchni 25 hektarów, wśród fantastycznie ukształtowanych pní sosn, bambusowych zarośli, wiśniowych sadów, sadzawek i przerzuconych przez nie romantycznych mostków, w małych herbaciarniach.

Ogromny program widowiskowy obejmuje zarówno występy moskiewskiego Teatru Wielkiego, jak i nowojorskiej orkiestry filharmonicznej.

Innego rodzaju niespodziankę przygotowują radykalnie nastrojeni studenci Japonii: zamierzają zorganizować demonstrację przeciwko odroczeniu japońsko-amerykańskiej „umowy o bezpieczeństwie”.

Rząd i przemysłowcy Japonii zainwestowali w wystawę dwa miliardy dolarów, przede wszystkim w transport i komunikację pasażerską oraz zabezpieczenie locum dla zwiedzających wystawę. Jednakże goście będzie więcej, niż przypuszczali organizatorzy Expo 70. Już dziś, na całej odległości dwóch godzin jazdy od Osa ki, nie ma w hotelach ani jednego wolnego miejsca.

Największe trudności wynikają z pewnością na nowej autostradzie, której przepustowość wynosi 25 tysięcy samochodów na dobę. Według wszelkich danych, potok samochodowy wyniesie około 35 tysięcy aut na dobę. Dlatego też policja uprzedza automobilistów, zdążających na wystawę, aby brali ze sobą zapasy żywności i wody do picia.

Po wizycie

„WASHINGTON POST” — WASZYNGTON

Kongres zgłosił prezydentowi Pompidou serdeczne przyjęcie, ale wielu członków Izby Reprezentantów i Senatu nie wzięło udziału w posiedzeniu, aby zademonstrować swoje niezadowolone z polityki Francji na Bliskim Wschodzie.

Nie wiadomo dokładnie, ilu kongresmanów było nieobecnych celowo. Większość miejsc była zajęta, ale na niektórych siedziały dzieci posłów i senatorów, służyli pracownicy administracji. Zdaniem korespondentów, nieobecnych było co najmniej 150 członków Izby Reprezentantów i prawdopodobnie 35 senatorów. Członek Izby Reprezentantów, L. Woolf, opuścił salę posiedzeń w momencie, gdy Pompidou rozpoczął swe przemówienie.

Choć zarówno amerykańscy, jak i francuscy dyplomaci wiele mówią o serdecznej atmosferze, w jakiej odbywały się rozmowy, było jasne, że nie osiągnięto nawet najmniejszego postę-

pu na drodze zmniejszenia rozbieżności w problemach polityki.

Jeśli chodzi o Izrael, to zdaniem Pompidou, nie powinien on służyć jako „baza wypadowa” w tym rejonie.

Co do innych kontrowersyjnych zagadnień pomiędzy Waszyngtonem i Paryżem, to nie ma żadnych oznak zmiany stanowisk ani z jednej, ani z drugiej strony. Pompidou uważa, że przyczyny, które zmusiły generała de Gaulle'a do wycofania Francji ze sztabu zjednoczonego dowództwa NATO, pozostają w mocy.

Krótko mówiąc, Pompidou stoi twardo na stanowisku niezawisłej roli Francji, do czego tak długo i uparcie dążył de Gaulle.

Fiasko polityki Izraela

„NEUES DEUTSCHLAND” — BERLIN

Ożywione zazwyczaj ulice Aleksandrii były tego dnia zapelnione po brzegi

nieprzebrany, milczącym tłumem. Te dziesiątki tysięcy mieszkańców miasta od-

dawały ostatni hołd kapitanowi Hosni Hammadowi, który poległ podczas wypadu izraelskiego desantu na pozycje egipskie. Podobne akcje zdarzają się coraz częściej.

Obecnie izraelscy piraci powietrzni prowadzą ostrzał i bombardowanie miast i wsi w rejonie Kanatu Sueskiego i Zatoki Sueskiej.

Ostatnimi czasy, soldateska z Tel-Awiwu postanowiła przesunąć eskalację prowokacji w głąb Egiptu. Niemal codziennie, pojedyncze samoloty lub nawet całe eskadry, lecąc lotem koszącym, usiłują przedrzeć się przez linię frontu.

Jak wiadomo, strategicznym celem agresji izraelskiej jest pomoc imperializmowi w przywróceniu jego pozycji na Bliskim Wschodzie, utraconych w wyniku sukcesów arabskich ruchów wyzwolenczych, oraz obalenie postępowych rządów szeregów krajów arabskich. Jedną z globalnych strategii a-

merykańskiego imperializmu poniosła kolejne fiasko, czego dowodem są polityczne przeobrażenia w Sudanie i o balenie monarchii w Libii. Wrogowie widzą coraz wyraźniej, że czas pracuje przeciwko nim.

W obliczu takiego rozwoju wypadków izraelscy awanturnicy dążą do niebezpiecznego zaostrzenia konfliktu i ogólnej sytuacji na Bliskim Wschodzie. a ich imperialistyczny mocodawcy podążają ich i podtrzymują.

Generalowie Pentagonu i rząd Izraela widocznie wciąż jeszcze liczą (nie bacząc na lekcję w Wietnamie) na to, że rajdy bombowców w głąb terytorium ZRA osłabią ducha moralnego narodu egipskiego i że bomby przygotują grunt dla kontroli w tym kraju. Jedną z nakazów izraelskiego lotnictwa spotęgowały tylko ogólnonarodowy gniew i oburzenie przeciwko agresorowi.

Na biegunach bez zmian

„WELT” — HAMBURG

Obserwacje uczonych wskazują, że na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia siła pola magnetycznego Ziemi stale się zmniejsza. Wykryto ważne dowody na to, iż osłabienie pola magnetycznego Ziemi może spowodować nieoczekiwane zmiany jego biegunowości, w wyniku czego oba bieguny: północny i południowy niejako wymieniają się miejscami. W tym wypadku strzałki kompasów na całej kuli ziemskiej zmieniałyby kierunki.

W geologii uważa się dziś prawie za udowodnione, że w przeszłości pole magnetyczne Ziemi już się zmieniło. Po drugiej wojnie światowej wykryto zadziwiająco składowe skamieniałe „kompasy”. Są to minerały namagnesowane w kierunku odmiennym od dzisiejszego kierunku pola geomagnetycznego. Odkrycia te, według wszelkie-

go prawdopodobieństwa wskazują na to, że niegdyś pole magnetyczne Ziemi było odmierne kierunkowo od istniejącego w naszych czasach. Skamieniałe „kompasy” świadczą również, że około pół miliarda lat temu jeden z biegunów magnetycznych Ziemi znajdował się na Oceanie Spokojnym, w pobliżu równika. A zatem nie można wykluczyć ewentualności zmiany kierunku pola geomagnetycznego w przyszłości. Odbicie francuskich uczonych wykazują, że w określonych warunkach biegunowość może się zmienić w stosunkowo krótkim czasie i że ostatnia zmiana miała miejsce minimum 8700 i maksimum 20 tysięcy lat temu. Tempo osłabienia pola magnetycznego Ziemi pozwala przypuszczać, iż zmiana biegunowości może nastąpić jeszcze za życia obecnego pokolenia.

W najbliższym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ◆ WOJCIECH NATANSON — Opowieści profesora Tutki
- ◆ JERZY M. FIEDOSIEJEW — Największa szansa Malborka
- ◆ HENRYK DUDEK — Szklane domy wśród sosn
- ◆ Recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Łodzianie 1969

W dniu 19 marca br. odbyła się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki uroczystość wręczenia nagród laureatom plebiscytu redakcji „Odgłosów” na najpopularniejszych łodzian roku 1969. Zostali nimi: (od lewej) dr Bronisław Leszczyński, Izabela Nagórska i Władysław Rymkiewicz.



Fot. A. Wach

Asystenta portret załzawiony

Dalszy ciąg ze str. 1

poznać rzeczywistego poziomu wiedzy, reprezentowanego w zakładach pracy. To na pewno nie ułatwia mu późniejszej pracy i z góry przesądza o efektach dydaktycznych. Na ćwiczeniach może przekazywać swoim podopiecznym tylko wiedzę teoretyczną, zaczerpnąć z książek. Teoria, nie podbudowana praktyką, nie zawsze daje w efekcie pożądane rezultaty i prowadzi myśl nie w tym kierunku, co trzeba. Szczególnie dotyczy to uczelni technicznych. Ogólnie wia domo, że technologia nie nadaje za konstrukcjami. Czyli praktyka, możliwość wcielenia w życie pomysłów konstruktorów, realizuje się dopiero w kilka lub kilkanaście lat po zaprojektowaniu urządzenia. Asystenci zdają sobie z tego sprawę. Czują, że stan posiadanej przez nich wiedzy ma wielkie luki. Właśnie głównie brakuje im wiedzy praktycznej, której tak często oczekuje od nich student.

Staż odbywany w zakładzie pracy ułatwiłby młodym pracownikom naukowym wybranie tematu pracy doktorskiej i na pewno zwiększyłby ilość prac z dziedzin technologicznych, a takich przecież najbardziej brakuje.

W zasadzie każdy młody pracownik naukowy musi sam wypracować sobie własne metody dydaktyczne. Przy przyjmowaniu do pracy nikt nie sprawdza, ani nawet nie pyta o wiedzę pedagogiczną.

Taki stan rzeczy wyraźnie wpływa na jakość nauczania i asystenci doskonale zdają sobie z tego sprawę. Przeważnie we własnym zakresie dokształcają się, korzystając z książek, ale to rozwiązanie, z braku odpowiednich materiałów uwzględniających specyfikę studiów technicznych, nie jest wystarczające. Tylko wyjątkowo, nie którzy kierownicy katedr, na zasadzie „dobrego człowieka” doskonalają swych pracowników w dziedzinach pedagogicznych. Nie ma w tej dziedzinie żadnych postanowień, choćby na szczeblu uczelni.

Na barki asystenta złożono odpowiedzialność za wychowanie ideowe. Wychowywał, ale jak — mówią zainteresowani. Naszych studentów widzimy często raz w tygodniu w czasie jednej godziny ćwiczeń. Studenta wychowują grupy nieformalne, mikrorodowiska kolegów z pokoju w akademiku. Wychowuje go kino, telewizja, itp. My mamy urządzić prelekcje? Czy rzeczywiście trzy oderwane prelekcje, nawet ciekawie poprowadzone, coś dają?

Asystenci to ludzie młodzi, ofiarni. Chcieliby wywiązywać się dobrze z powierzonych im obowiązków, dlatego z takim żalem reagują na decyzje, których realizować, pomimo chęci, nie są w stanie.

Stażyci, a nawet asystenci znajdują wspólny język tylko z młodymi pracownikami do stopnia doktora. Dalej już stoi niewidzialna bariera, którą trudno przebyć. Kierownicy katedr, to już zupełnie bogowie, do których nie ma dostępu. W katedrze istnieją dwie kasty. Starzy i młodzi. Te dwie antagonistyczne grupy dzieli bariera. Twarda bariera. Aby ją sforsować nie wystarczy zdolności i wiedza, potrzebny jest także odpowiedni rocznik urodzenia. Katedra to mit, instytucja, o której student nic nie wie. Zna tylko jej mury, ściany. Widzi drzwi, kolokwia, egzamin, godziny konsultacji i dyżurów. Katedra broni się przed światem studentkim, ukrywa swe prawa. Aby się o niej czegoś dowiedzieć trzeba zostać asystentem.

Przedstawiony przez asystentów

jest traktowany jako popychadło nikomu niepotrzebne. Stało się to tematem setek anegdot, krążących wśród studentów.

Większość asystentów wywodzi się ze studentów, mieszkających poza miastami, w których istnieją wyższe uczelnie. Dlatego też już na stażu pierwszym problemem, który musi rozwiązać świeżo upieczony magister jest mieszkanie. Koszt wynajęcia pokoju w Łodzi kształtuje się w granicach 500—600 zł miesięcznie, a więc wynosi ponad 50 procent pensji stażysty. Lecz w wynajętym pokoju nie można mieszkać całe życie tym bardziej, jeżeli chce się założyć rodzinę.

Dla magistrów zatrudnionych w przedsiębiorstwach przeznaczona jest pewna pula zakładowa, z której zakłady pracy pokrywają dwie trzecie kosztu mieszkania, a do czasu jego uzyskania wyplacają pracownikom specjalny dołek na mieszkanie w wysokości 300 zł miesięcznie. Przedsiębiorstwa mają także własne, zakładowe

Czy nie można by tego pracochłonnego i nerwocłonnego proceduru zmienić? Uzyskanie etatu asystenta wyższej uczelni powinno być jednocześnie zgodą na stałe zameldowanie na terenie miasta. Zameldowanie powinno załatwić wielka i rozbudowana przecież administracja uczelni. Asystent powinien uczyć się sam i uczyć innych zamiast tracić czas na bieganie z podaniami od urzędu do urzędu.

Czasem w domach studenckich są wolne miejsca. Myłoby się jednak ten, kto by myślał, że może czasowo zająć je asystent. Istnieje specjalne zarządzenie Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, zabraniające mieszkania asystentom w domach przeznaczonych dla studentów.

Często mówi się o asystentach (tego określenia ja także używam), że są młodymi pracownikami nauki. Prawda jest zupełnie inna. Asystenci, a tym bardziej stażyci, z nauką jako taką nie mają czasami nic wspólnego. Dopiero po uzyskaniu tytułu starszego asystenta za-

Bo o awansie na uczelni nie decyduje rzeczywista wiedza, zaangażowanie, czy praca społeczna. Jest tylko jeden, jedyny wielki próg — doktorat.

Z reguły doktorat robi się po 7—8 latach pracy w katedrze. Dodatkowym utrudnieniem jest blokada doktoratów. A przecież na doktorów czeka nie tylko uczelnia, coraz więcej zapotrzebowania składa także przemysł.

Alle praca naukowa to nie tylko doktoraty. To rozwiązywanie bieżących małych i dużych problemów technicznych. Usprawnienia i wynalazki. I tu młodzi naukowcy natrafiają na duże trudności. Uczelnie laboratoria są bardzo słabo wyposażone. Szczególnie dotyczy to filii wyższych uczelni oraz wyższych szkół inżynierskich. Tutaj nie ma prawie wcale laboratoriów. Są budynki, studenci i kadra pedagogów. W takich warunkach o pracy naukowej często nie może być mowy. Ośrodki miejskie mają ambicje posiadania wyższej uczelni technicznej. Powinny decydować się na realizowanie swoich marzeń dopiero po zgromadzeniu odpowiednich funduszy na wybudowanie placówki rzeczywistej za studującej na miano wyższej uczelni.

Istnieją dziedziny nauki i techniki, w których inne kraje wyprzedzają Polskę. Dla jak najszybszego osiągnięcia wyższego poziomu w tych dyscyplinach, istnieje cały system praktyk i wycieczek zagranicznych dla studentów. Zupełnie inaczej dzieje się, gdy studenci stają się asystentami. Teraz nie mają żadnych możliwości wyjazdów zagranicznych. Nie ma praktyk za granicą. Nie organizuje się choćby dwu- czy trzydniowych wycieczek poglądowych do zagranicznych zakładów przemysłowych o wysokiej kulturze technicznej, czy na wystawy najnowocześniejszego sprzętu technicznego typu Targów Lipskich. Nawet, jeżeli ktoś prywatnie załatwi sobie możliwość odbycia stażu za granicą, ma kłopoty z wyjazdem.

Obecny stan rzeczy jest nienaturalny i szkodliwy dla polskiej myśli technicznej i naukowej. Przecież magister inżynier z pewnością więcej skorzysta z praktyki zagranicznej niż student po trzecim roku studiów. W interesie państwa leży korzystanie z dorobku innych krajów. Młodzi pracownicy naukowcy wyższych uczelni najlepiej się do tego celu nadają. Swoją karierę widzą tylko w pracy naukowej. Są zapaleńcami i naprawdę dobrymi i bezinteresownymi rzecznikami nauki.

Sytuacja asystentów wyższych uczelni jest ze wszech miar niekorzystna dla wszystkich i wymaga radykalnych zmian. Jeżeli rozbudujemy się uczelnie, powiększą katedry, trzeba jednocześnie stworzyć godziwe warunki pracy.

Sytuacja młodego naukowca polskiego dojrzała już do zainteresowania się nią przez odpowiednie władze i podjęcia radykalnych decyzji. Trzeba wreszcie zainteresować się warunkami pracy i życia naszych najniższych pracowników nauki. Przecież za kilka lat, właśnie na nich spocznie cały ciężar podnoszenia kultury technicznej i naukowej naszego kraju. Trzeba im pomóc, aby mogło to przebiegać jak najsprawniej.

ZBYCH MIKLASZEWICZ



obraz ich katedr na pewno nie ma miejsca we wszystkich tego typu placówkach. Ale na pewno nie jest najlepiej w stosunkach między starszą a młodszą kadrami naukowymi. Wyżsi pracownicy nauki więcej zarabiają, mają ustabilizowane i unormowane życie, więc stosunek asystentów do nich niewiele może im zaszkodzić. Natomiast oni sami bardzo potrafią utrudnić życie swoim podwładnym. Dwudziestotry - dwudziestopięcioletni magister, wchodzący w krąg nowych dla niego ludzi, w środowisko innych, niż dotychczas znane mu, praw, potrzebuje pomocy i zachęty w pierwszym etapie pracy. Nie otrzymuje tego, lecz

we budownictwo, w którym można otrzymać mieszkanie po znacznym krótszym oczekiwaniu, niż w budownictwie spółdzielczym.

Żadnego z tych dwu udogodnień nie może dać asystentom uczelnie. Tylko w niektórych ośrodkach uczelnianych istnieją hotele, asystenckie, lecz ilość proponowanych przez nie miejsc nie zaspokaja na wet nikłej części zapotrzebowania. Uczelnia nie zapewnia też swoim asystentom zameldowania na terenie miasta. I ten niełatwy do uzyskania papierek, choć istnieje przepis zapewniający zameldowanie w mieście specjalistom, młody człowiek musi załatwić na własną rękę.

czynają poważnie myśleć o pracy naukowej, o robieniu doktoratu. Wcześniej po prostu nie mają zupełnie rozeznanie co właściwie mają badać, jaki wybrać temat pracy.

W zasadzie kierownik katedry powinien proponować przedmiot badań. Ale w rzeczywistości jest często inaczej. Profesor nie zawsze interesuje się pracą naukową i awansem swoich asystentów, nie stara się ukierunkować ich zainteresowań i badań. Zdani są tylko na własną inwencję i przyszłowiowi łut szczęścia. Zdarza się, że wybrane są niewłaściwe tematy. A zrobienie doktoratu jest dla pracownika nauki sprawą bardzo ważną.

Listy do Redakcji

W odpowiedzi na pismo z dnia 4 marca br. (znak: N-15/2270), uprzejmie informujemy, że notatka pt. „Szkoła upupiania”, zamieszczona w „Odgłosach” z dnia 7. II. br., jest wynikiem nieporozumienia, spowodowanego tym, że notatka, jaka ukazała się w „Dzienniku Łódzkim” w dniu 23. I. br. pt. „Susza i zioła. Co z Raphacholli-

nem?”, błędnie informowała o powodach braku tego cenionego specyfiku, powołując się przy tym na informacje uszkień rzekomo w Zarządzie Aptek m. Łodzi.

Podkreślamy że informacja udzielona przez nas telefonicznie Redakcji „Dziennika Łódzkiego” była prawdziwa i wyraźnie podawała brak kwasu dehydrocholowego jako główny powód niepełnych dostaw Raphacholiny.

Redakcja uogólniła informację o braku niektórych innych preparatów ziołowych i wszystko wytłumaczyła suszą.

Wysoko cenimy sobie współpracę z „Herbapollem”. Trudności, jakie Zjednoczenie Przemysłu

Zielarskiego napotyka w realizacji naszych potrzeb, są nam znane i obiektywnie zrozumieliśmy.

Nie przypuszczamy, aby to drobne nieporozumienie, powstałe nie z naszej winy, zakłóciło naszą do brą współpracę.

MGR T. FORMAŃSKI

W związku z artykułem Bogdy Madej pt. „Kolorowe gęsi nad Pilicą”, jaki się ukazał w „Odgłosach” nr 5 dnia 1. II. 70 r. Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Łodzi przedstawił swoje stanowisko wobec stawianych zarzutów pod adresem Lasów Państwowych.

Pierwszy zarzut opóźnienia wycinki lasów dotyczy chyba roku ubiegłego, kiedy to Lasy Państwowe wy-

konywały prace przy wylesieniach jako swe prace pozaplanowe, swoimi robotnikami i wg starych obowiązujących stawek płacowych — które nie zapewniały należytego tempa prac i frontu robót. Obecnie Naczelny Zarząd Lasów Państwowych uregulował zarobki robotnicze.

Drugi zarzut jakoby „aduunkt N-ctwa Nagórzycy oświadczył, że nie są oni zainteresowani wyrębem” dotyczył okresu września 1969 r., kiedy to z uwagi na koniec roku gospodarczego (30 września 1969 r.) Nadleśnictwo Nagórzycy mając na ukończeniu roczne zadania planowe nie mogło pozwolić sobie na dalsze przekraczanie planów pozyskania drewna (reguła obowiązująca).

Odnosnie rozwiązania sprawy karpiny świeżej, ośmielamy się twierdzić, że sprawa wykorzystania karpiny jako surowca do produkcji celulozy, żywicy czy terpentyny nie jest w tej chwili rozwiązana nie tylko w skali polskiej, europejskiej ale nawet światowej. Leśnicy użytkują lasy, wyrębiają zręby i zalesiają je pozostawiając karpinę w ziemi bez możliwości jej natychmiastowej eksploatacji. Eksploatuje my karpinę jako przemyślową po 15-letnim okresie pozostawiania w ziemi po ogniciu warstwy biela stej, przeznaczając część rdzenną do produkcji kalfonii i terpentyny.

Dlatego przypisywanie tego zagadnienia do rozwoju gania leśnikom łódzkim jest nie do zrealizowania,

Odnosnie zagospodarowania drobnicy jak i karpiny na opał Okręgowy Zarząd L.P. poczynił już starania, aby zbycić ją okolicznej ludności i do tej pory ludność drobnic kupowała. Obecnie okoliczności zostały usunięte poza czasę zbiornika kosztów i staraniem nabywcy. Czy to się uda okaże najbliższą przyszłość.

DYR. OKR. ZARZĄDU LASÓW PAŃSTWOWYCH mgr inż. H. Baksalerski

Ziemia bez cudów



W GRUENEN GEWELBE MIENIA SIĘ WSZY-
STKIMI KOLORAMI TĘCZY KLEJNOTY SAS-
KIEJ DYNASTII I NAM NIEGDYS PANUJĄ-
CEJ. AUGUST MOCNY LUBIŁ CENNE ŚWIE-
CIDEŁKA, KOLEKCJONOWAŁ JE NA RÓW-
NI Z PIĘKNYMI KOBIETAMI, ALE NIE O TO
CHODZI — NAWET NIE O BIAŁE ORŁY
I POGONIE TU I ÓWDZIE ROZSIANE NA
MUZEALNYCH PRECJOZACH. WSZAK JEST
TO ZIEMIA BEZ CUDÓW.

Do Drezną trafiłem już pod ko-
niec swojej wędrowki po Niemiec-
kiej Republice Demokratycznej. W
kieszeni tkwił notes napełniony no-
tatkami: fakty, liczby, wrażenia, po-
ważne rozmowy z tzw. „czynnikami
mi” i przelotne odczucia.

Choćby Budawy.

Wartburg krztusił się na górskich
serpentinach, po drugiej stronie za
śnieżoną szosą widać było już zagrze-
bane w śniegu po dachy domy sąsied-
niej wioszczyzny — a my z uporem
godnym lepszej sprawy, przebijali-
my się przez białe zasy do jakiejś
osady, gdzie ponoć był ten fe-
nomen. No więc rzeczywiście, Froh-
nauer Hammer to kuznia pamięta-
jąca początki wieku XV, bito tu za
czasów Jana Fryderyka i Alberta
srebrne talary, a jej drewniane mło-
ciska jeszcze dziś ruszają pełną pa-
rą ku podziwowi przyjeźdźnych tu-
rystów. Dostaje na pamiątkę srebrny
pieniązek, jako że wypadło mi być

pierwszym z drugiego miliona zwie-
dzających, i tak pozierając z podzi-
wem na wielgachne miechy wypycha-
jące powietrze do palenisk, myśla-
łem ile też biur turystycznych w
Europie wie, że gdzieś tam w Kie-
lekiem jest tzw. Staropolskie Za-
głębie, gdzie pradawne piece do wy-
tapiania surówki, prapolskie kuźni-
ce mogłyby być turystyczną sensa-
cją. No tak, ale to trzeba umieć
sprzedawać...

Sprzedają. Ale znowu nie o to
chodzi. Bo niegdys w Rudawy jeź-
dziło się po rzeźbione w drewnie
zabawki, takie tam „jelenie na ryko
wisku” w tutejszym wydaniu, a
dziś kto żyw i kto zdolen,
odłożył kozik i poszedł ko-
pać. Dosłownie — kopać. Nie,
nie chodzi o gorączkę złota
choć podobno srebro tutaj także
można się dogrzebać. Ale co tam
srebro! Wszak żyjemy w wieku ato-
mowo-jądrowym... no więc tak —

uran. Małe szybiki, hałdy tu i ów-
dzie wyglądają z górskich lasów, a
widomym znakiem uranowego bo-
gactwa jest nagły awans dotychczas
zapadłych miasteczek, a nawet wio-
sek lśniących teraz zamożnością no-
wych willi, domków i tutejszych
wypoczynkowych dach. To tak na-
oko. Bo ten awans daje się zmie-
rzyć nie tylko ilością rentgenów, któ-
re promieniują z tutejszej rudy, lecz
także osobistą zamożnością ludzi pra-
cujących gdzieś tam pod ziemią przy
drażeniu chodników w uranowych
pokładach.

Manfred, mój tutejszy przewodnik,
kieruje moją uwagę na plachty pa-
pierni, na które raz po raz się na-
tykamy. Wszędzie te same słowa:
NATYCHMIAST ZATRUDNIMY.

Tutaj dochodzimy do spraw po-
ważnych.

Ten brak rąk do pracy nawet tu-
taj w uranowych Rudawach, gdzie
zarobki są dwa-trzy razy wyższe ani-
żeli w innych dziedzinach gospodar-
ki NRD, jest ogólną cechą dnia dzia-
sieszego tego kraju.

Guenther Sachs z lipskiego Insty-
tutu Ekonomicznego wprowadził
mnie w pewne tajniki sytuacji (czy
można to tak nazwać?) populacyjno-
-demograficznej. — Otóż, mówił, je-
steśmy krajem gdzie ogromny odsetek
mieszkańców to ludzie starzy, w
wieku tzw. „pozaprodukcyjnym”,
swoje zrobiła też wojna, no, a poza
tym przyrost naturalny bardzo ma-
ły.

Więc dynamika, rozwój, a z dru-

giej strony skromne zasoby siły ludz-
kiej. To są fakty. Czasami jednak
sprzeczności, hamulce wskazują je-
dynie słuszną drogę. Gdy wyjeżdża-
łem z Łodzi, brzmiało mi w uszach
jedno słowo: intensyfikacja. W
hotelowej restauracji w Lipsku
napotkałem fachmana po piórze —
Manuela Lucherta z paryskiego
„Mundu”. Ten rozglądał się — jak
mówił — po tym „dziwnym kraju”.
Przynajmniej dla niego. Potem na-
pisał w swoim „Le Monde”: „Lud-
ności czynnej zawodowo jest tutaj
około 9,5 mln osób, w tym 47 proc.
stanowią kobiety. W tej sytuacji nie
było wyboru: niezbędny wzrost pro-
dukcji można było osiągnąć tylko
jedną drogą — przez zwiększenie
wydajności. W tym też kierunku
idą wszystkie zamierzenia, poczyni-
ając od mobilizacji ideologicznej,
przez cały system pobudzający do
stałego wysiłku — mniej zresztą fi-
zycznego niż umysłowego — aż do
niezwykłej wagi, jaką przywiązuje
się do nieustannych postępów w re-
wolucji naukowo-technicznej. Wszy-
scy są opanowani przez jedną myśl:
produkować więcej, lepiej i taniej.
Wszystkie te metody — pisał także
Luchert — nie wystarczyłyby jeszcze
dla zapewnienia NRD ósmego miej-
sca wśród mocarstw przemysłowych
świata, gdyby jej przywódcy w porę
nie zrozumieli znaczenia rewolucji
w elektronice. Sprawom tym poświę-
ca nieustanną uwagę prasa, pod tym
kątlem widzenia nastawiona była re-
forma studiów i charakteru wyż-
szych uczelni itp.”

Rezultaty są poważne. Od roku
1946 wydajność pracy wzrosła prze-
ciwnie o 6 proc. rocznie, a dochód
narodowy po raz pierwszy przekro-
czył w roku 1968 kwotę 100 miliardów
marek. Pod względem produk-
cji energii elektrycznej liczonej na
mieszkańca — co jest jednym z mierz-
ników rozwoju — NRD zajęła w
roku 1968 drugie miejsce w Euro-
pie, a rozmiary produkcji przemy-
słu chemicznego wzrosły na prze-
strzeni kilku ostatnich lat aż pię-
ciokrotnie.

Czy to już pułap?

Kiedy byłem w NRD tutejsi spe-
ce od ekonomii to samo pytanie
zadawali sobie i całemu społeczeń-
stwu bardzo żywo biorącemu udział
w każdej politycznej i ekonomicznej
dyskusji.

Oczywiście — jest to pytanie re-
zygnacyjne. Bo nie sposób zatrzymać ro-
pędzonej i... dobrze naoliwionej ma-
szyny. Ale naturalnie — pytania są.
Bo: jaką teraz, po osiągnięciu wy-
sokiego pułapu nowoczesności i roz-
woju, wybrać drogę, by nie tylko
utrzymać się w światowej czołów-
ce, ale nawet zwiększyć tempo? Co
wybrać, na co zwrócić uwagę i
skoncentrować środki techniczne o-
raz finansowe, by otworzyły się no-
we możliwości, powstawały jeszcze
doskonalsze „generacje” maszyn i
elektronicznych urządzeń, jak wresz-
cie pogodzić brak ludzkich rezerw
ze stałe napływającymi zamówieniami,
których realizacja oznacza nie
tylko stały dodatni bilans handlu za-
granicznego, ale także odpowiednią
rangę, uznanie polityczne „de jure”
dla faktu istnienia takiego organiz-
mu państwowego jakim jest Niem-
iecka Republika Demokratyczna?
Niebanalne pytania. Wszak chodzi
o wizerunek jutra.

☆

Jutro to znaczy też młodość.
W tym kraju słowo to nie ma w
sobie nic z romantycznego patosu.

Daje się nawet w pewnym sensie
wymierzyć. Na przykład statystycz-
nie rzecz biorąc, średnia wielu osób
zasiadających w dyrektorskich fo-
telach wielkich zakładów przemy-
słowych, tylko nieznacznie przekra-
cza czterdziestkę, a w takich gale-
riach jak chemia i elektronika —
dokładnie 37 lat.

Postawili więc na młodych. Te-
mu celowi wydaje się być poświę-
cony cały wysiłek, przede wszystkim
w dziedzinie kształcenia nowych,
młodych kadr specjalistów. — Cho-
dzi o to — mówił mi mój przewod-
nik, Manfred Tanzschauer — że mło-
dym jakoś łatwiej pracować bez ru-
tyniarskich (a może skostniałych?)
nawyków, że mają więcej tak po-
trzebnej w wieku futurologii, wy-
obraźni, a może potrafią i chcą ry-
zykować?

W każdym bądź razie są odpo-
wiednio przygotowani. 7 uniwersy-
tetów, 8 wyższych uczelni technicz-
nych, 2 podobnego typu szkoły rol-
nicze, wreszcie 8 specjalistycznych
instytutów pracuje dla tego celu.
Przy tym rzecz ciekawa: wyraźnie
można dostrzec tendencje do sku-
plenia uwagi, wysiłku oraz środ-
ków materialnych nie tyle na „prze-
ciwniaku” co właśnie na jedno-
stkach wybijających się w jakiejś
dziedzinie ponad średni i tak wyso-
ki poziom. Zresztą dotyczy to nie
tylko szkolnictwa wyższego. W szko-
łach średnich są specjalistyczne kla-
sy — powiedzmy matematyków, fi-
zyków, chemików. Mój lipski rozmów-
ca przytoczył mi też uparcie
głoszoną w NRD: istnieje ścisła
więź między nauką a przemysłem,
między szkołą a rozmaitymi dziedzi-
nami życia. I ZAWSZE trzeba mieć
na uwadze EFEKTYWNOŚĆ idącą
w parze i z ideowością postawy. O-
czywiście, na rezultaty składają się
jeszcze inne czynniki. Choćby wpa-
jana od najmłodszych lat punktual-
ność, przestrzeganie porządku, prze-
pisowość, gospodarność.

I ciekawość.

Tutaj dochodzimy do spraw, któ-
re szczególnie interesują czytelników
„Odgłosów”, słowem do spraw
kulturalnych i na tym tle stosun-
ków polsko-niemieckich.

Gdy byłem w Lipsku trafiłem
akurat na Międzynarodowy Tydzień
Filmów Dokumentalnych i Krótko-
metrażowych. Konkurencja była ostra
— rywalizowało ze sobą 91 filmów,
w tym 13 popularno-naukowych i
7 animowanych. Polska reprezento-
wała 15 filmów, z tych 9 w kon-
kursie. Jak wyszliśmy z tej między-
narodowej rywalizacji? Zdobyliśmy
3 nagrody — dla „63 dni” Wioncz-
ka; „Krzysztofa Pendereckiego” Za
nussiego oraz dla „Wyroku na mia-
sto” Chodnikiewicza i Farrata. A
więc nieźle, chociaż czegoś w tych
naszych propozycjach brakowało.
Chyba politycznego reportażu, a mo-
że i zdałaby się większa dawka
współczesności, tej zwyczajnej, o ży-
ciu prostych ludzi, którzy budują
nasze dziś.

A właśnie na wiadomości o tej
„zwyczajnej”, współczesnej Polsce
jest ogromne zapotrzebowanie i cie-
kawość. Na każdym odczytanie w Pol-
skim Ośrodku przy Bruhlstrasse gro-
madzi się 100—200 osób, kursy je-
zyka polskiego cieszą się dużym po-
wodzeniem, a „Kultura”, „Polityka”,
gazety codzienne, widowiska znikają
z szybko do zainstalowanego w O-
środku stoiska „Ruchu”.

Dyskutujemy więc to co w świad-
omości naszych sąsiadów zza Odry
znalazło trwałe miejsce.

BRONISŁAW GÓRECKI

W każdym kraju istnieje pewna ilość dzieci upośledzonych
fizycznie lub psychicznie, którym szkoła normalna nie jest
w stanie zapewnić możliwości rozwoju i warunków kształ-
cenia. Są to dzieci niewidome i niedowidzące, głuche i niedo-
słyszające, upośledzone umysłowo, przewlekłe chore, kaleki,
nie dostosowane społecznie.

Dokładnej statystyki dzie-
ci, o których mowa, a które
ogólnie nazywa się upośle-
dzonymi, nie ma żaden kraj
europejski. Opracowywane
w tych krajach wg różnorod-
nych kryteriów, wskaźniki
upośledzeń wahają się od 7
do przeszło 12 procent ogółu
dzieci w wieku szkolnym.
Objęte są one nauczaniem
specjalnym i uczęszczają do
szkół o odpowiednio sprofilo-
wanym programie i meto-
dach nauczania, co ma im
dać możliwość normalnego ży-
cia w sensie fizycznej, umy-
słowej, społecznej, zawodo-
wej i ekonomicznej użytecz-
ności. Szkoła specjalna zmie-
rza więc, w miarę możliwo-
ści, do takiego przygotowa-

nia swoich uczniów, aby mo-
gli oni kontynuować naukę w
szkole normalnej. Dlatego też
broni się przed przyjmowa-
niem dzieci, które mimo pe-
wnych oznak upośledzenia
mogą uczyć się w szkole nor-
malnej, a więc tych z pogra-
niczną upośledzenia: głuchoty,
ślepoty, niedorozwoju, któ-
rym odpowiednią pomoc le-
karską — psychologiczną, lo-
gopedyczną, psychiatryczną
lub pedagogiczną, może umo-
żliwić naukę w normalnym
środowisku szkolnym wśród
normalnych dzieci. Stąd, w
niektórych krajach, jak np.
w Szwecji, opieką pedagogi-
ki specjalnej objęto 7 pro-
cent dzieci w wieku szkol-
nym, ale z tego w szkołach

specjalnych uczy się tylko
1,5 procent. Pozostałe uczą
się w specjalnych klasach
przy szkołach normalnych,
bądź w szkołach normalnych,
gdzie otrzymują „nauczanie
specjalne” w formie dodat-
kowych zajęć. W ten sposób
kompensuje się upośledzenie
i unika szkód wynikających
z izolacji.

Szkoła specjalna objęła o-
pieką i kształceniem także
jednostki znacznie upośledzo-
ne, które dotychczas uznawa-
no za „niewyuczalne” i „nie-
wychowalne”. Jak wykazują
doświadczenia, jednostki te
mają pewne możliwości przy-
stosowania się do prostych
zadań społecznych i produk-
cyjnych.

W Polsce Ludowej sieć
szkolnictwa specjalnego zo-
stała tak rozbudowana, że o-
bejmuje całokształt proble-
matyki związanej z naucza-
niem i przygotowaniem za-
wodowym dzieci i młodzieży
wszystkich działów upośle-
dzonych, w zasadzie od 3 do 18
lat, a niekiedy i starszych,
ponieważ wiek ich kształce-

nia przedłuża się. W 1964 ro-
ku przeprowadzono rejestra-
cję dzieci niezdolnych do nau-
ki w normalnych szkołach
podstawowych. Wykazała o-
na, że 2,4 proc. ogólnej lic-
by dzieci podlegających obo-
wiązki szkolnemu jest nie-
zdolne do pobierania nauki w
normalnych szkołach podsta-
wowych.

W Łodzi mieliśmy wów-
czas 3,8 proc. takich dzieci,
co stanowiło 3.957 osób. Z
tej liczby tylko 184 dzieci nie
uczęszczało do żadnej szko-
ły. Łódź jest jednym z bar-
dzo niewielu okręgów szkol-
nych, który obecnie w stu
procentach realizuje obowią-
zek szkolny wobec dzieci z
różnymi kalectwami, czy upo-
śledzeniami. Jest także jed-
nym z okręgów szkolnych,
który stworzył placówki spe-
cjalne dla niektórych dzia-
łów upośledzeń, obsługujące
inne województwa, a więc za-
spokajające centralnie po-
trzeby w zakresie szkolnic-
twa specjalnego. Łódź bo-
wiem, jako ośrodek wielko-
mięski, stwarza doskonale

możliwości kształcenia dzie-
cka głuche, niedowidzące,
niedosłyszające, przewlekłe
chorego zarówno ze względu
na wybór zawodu, jak i spe-
cjalistyczną pomoc lekarską,
logopedyczną, psychiatryczną,
psychologiczną itp. Należy
także podkreślić, że każde
dziecko uczęszczające do szko-
ły specjalnej podstawowej na
terenie Łodzi ma możliwość
po ukończeniu jej kontynu-
ować naukę w szkole zawodo-
wej specjalnej, czy innym
ośrodku rehabilitacyjnym.
Łódź należy również do nie-
licznych okręgów szkolnych,
w których stworzono placów-
kę dla dzieci o znacznym u-
pośledzeniu umysłowym, tzw.
„szkołę życia”.

W Łodzi mamy różne dzia-
ły szkolnictwa specjalnego.
Najliczniej reprezentowany
jest dział upośledzeń umy-
słowych. Liczy on 15 placówek,
z tego 12 szkół podsta-
wowych specjalnych i 3 zakłady
specjalne. Jeden z zakładów
grupuje młodzież o znacznym
i umiarkowanym upośledze-
niu umysłowym, dwa pozo-

Szansa
dla
czterech
tysięcy

N

ie przepadam za atmosferą sądowej sali i Plac Dąbrowskiego staram się omijać z daleka. Obserwowałem jednak kilka ciekawszych procesów. Byłem więc na sądowym finale pewnej zabawy, w wyniku której ktoś pomógł Andrzejowi Brychta o złamanie szczęki, oglądałem rozprawę, na której znany artysta-plastyk, laureat nagrody m. Łodzi, musiał się tłumaczyć ze swych artystycznych gustów, wyrażonych dosadnie na łamach prasy, kibicowałem w procesie dziennikarza, którego w dwudziestym roku władzy ludowej były ziemianin oskarżał o nieścisłości w rozliczeniach z roztrwonionego przez ziemianina majątku, co miało miejsce w latach trzydziestych...

Teraz natomiast z zaciekawieniem asystuję rozprawie, która aktualnie jest na wokandzie i dlatego rezygnuję z określenia osób zainteresowanych ad personam.

A zatem. Oskarżonym jest dziennikarz, literat, krytyk teatralny, zwany dalej Dziennikarzem. Oskarżycielem jest początkujący autor tekstów estradowych, z zawodu — kapelusznik. Trzymając się więc ściśle protokołu sądowego, oskarżyciela moglibyśmy dalej zwać Kapelusznikiem, ale dla uniknięcia tanich efektów nazwijmy go Panem S.

Rzecz idzie o to, że Pan S. napisał teksty, wykonane następnie przez Aktorów w klubie „Koliber” (i gdzie indziej), a Dziennikarz teksty ocenił w radiowym felietonie w sposób zdecydowanie negatywny. Padły tam słowa mocne, których powtarzać nie chcę, aby nie być pomówionym o tendencyjne rozpowszechnianie ich za pomocą druku. W każdym razie Dziennikarz dał wyraz swemu przekonaniu, że poziom owych tekstów niepokojąco zniża się do twórczości spotykanej w toaletach publicznych. Mowa w owych tekstach jest m. in. o tym, że kobieta da się dla mężczyzny wbić na pal, że w naszej epoce doszło do rozbijania atomowych jąder... Dziennikarzowi owe aluzje kojarzyły się dość dwuznacznie. Zdziwiło to Pana S., który stwierdził przed sądem, że w jego utworach „podtekst erotyczny nie jest namacalny”.

Z ułamek tekstów Pana S. prezentowanych przez strony w obliczu Sądu wynika — dla mnie przynajmniej — że nie jest to poziom „Słówek” Boya, ani nawet piosenek Andrzeja Własta. Jeśli się pisze: „Schudł z miłości do swojej Mańki Nocą w zaułkach wystawał / Tęsknie nosem wypuszczał bańki / Natura zrobiła kawał...”

— to trzeba się liczyć z druzgocącą krytyką, bo jest w tym prymitywizm i nieumiejętność operowania słowem, jest brak jakiegokolwiek kultury literackiej i bardzo, bardzo dużo jak najgorszego smaku. Jeżeli w założeniach naszej polityki kulturalnej leży estetyczna edukacja odbiorcy — to przecież taka zmielona „papka” estradowa tym szczytnym zamierzeniom nie służy. Raczej wręcz przeciwnie.

Jest nieodgadnioną tajemnicą, jaką drogą tak słabe teksty mogły trafić do repertuaru znanych Aktorów. Klucz do tej tajemnicy tkwi zdaje się, w oświadczeniu Aktorki, zeznającej jako świadek: „Proszę Sądu — powiedziała — z tekstami estradowymi jest w ogóle bardzo ciężko...”

Co prawda to prawda — z tekstami ciężko, bez tekstów nie lżej... Więc bierze się co popadnie — a potem Dziennikarz mówi na falach eteru: „egzystuje pan, którego działalność jest jednym pasmem zbrodni popełnianych na dobrym smaku publiczności”.

Czy to jest obraza Pana S.? Nie wiem — o tym zadecyduje Sąd. Wiem tylko, że w roku 1926 recenzent „Wiadomości Literackich” pisał o realizatorach „Snu srebrnego Salomei” w Teatrze Narodowym per „przestępcy na terenie sztuki”, „ignorancji”, „recydywistów, których należy wystawić na widok publiczny w charakterze najgorszych sztuk Teatru Narodowego”... Jak wiem — zarówno recenzent, jak i „Wiadomości Literackie” zostali uwolnieni od zarzutu obrazy i uniewinnieni. A ludzie spostonowani w ten sposób przez recenzenta to nie były hetki-petelki — to był m. in. Jan Lorentowicz i Teofil Trzcziński, wybitne przecież postacie teatru. Uznanie

ci”, „recydywistów, których należy wystawić na widok publiczny w charakterze najgorszych sztuk Teatru Narodowego”... Jak wiem — zarówno recenzent, jak i „Wiadomości Literackie” zostali uwolnieni od zarzutu obrazy i uniewinnieni. A ludzie spostonowani w ten sposób przez recenzenta to nie były hetki-petelki — to był m. in. Jan Lorentowicz i Teofil Trzcziński, wybitne przecież postacie teatru. Uznanie

JERZY WILMAŃSKI

Wielka sprawa wokół mini-kabaretu



jednak prawo recenzenta do sięgania po słowa i środki drastyczne, gdy wymaga tego konieczność.

Parę lat temu pewien wybitny krytyk muzyczny napisał o innym działaczu na tej niwie, iż jest to „jeden z najszkodliwszych krytyków na terenie Poznania”. Mimo, że zarzut sformułowany został personalnie i ostro — Sąd Najwyższy uniewinnił

pozwanego autora krytycznego artykułu, wywodząc w dziewięciostrońcowym uzasadnieniu, że sam fakt wywołania przez pozwanego odczuć negatywnych u powoda nie stanowi wystarczającej podstawy do ochrony prawnej dóbr osobistych powoda. Dobra osobiste — wywołał dalej Sąd Najwyższy — jako wartości związane z wewnętrzną stroną życia ludzi i w związku z tym niejednokrotnie wymierzalne, pod-

W tej samej, cytowanej wyżej sprawie, Sąd Najwyższy oceniając formę wypowiedzi pozwanego, stwierdził, że była ona niewątpliwie ostro. Ale, że była przy tym polemiczna, zatem przy tym rodzaju krytyki pewne przejawskrawienia są normalną i uznaną jej właściwością. „Dotyczyła także dziedziny sztuki — cytując dosłownie uzasadnienie SN — w której subiektywizm wrażeń oraz ocen jest zasadą, a krańcowe różnice w ocenach są zjawiskiem wcale nierzadkim”.

W sprawie Pana S. contra Dziennikarz nie ma nawet krańcowych różnic w ocenach. Pan S. zgadza się przecież, że „brał poprawkę na kredyt aktorski”, że jako początkującemu przysługuje mu swoista taryfa ulgowa — i jak sam mówi przed Sądem — „takowe niedostatki mają prawo mieć moje teksty”.

Oczywiście, że „mają prawo”. Zgadza się z tym całkowicie, ale także recenzent „ma prawo”, a nawet obowiązek zaprotęstować przeciwko produkowaniu przed publicznością utworów grafomanicznych.

Ciekawa sprawa. Obaj — Dziennikarz i Pan S. — „mają prawo”. A w środku Sąd, który musi wydać werdykt. Trudna sprawa. Z jednej strony człowiek, który się czuje skrzywdzony, który pisze tak jak potrafi („każdy rodzi winny sposób — jeden pisze na leżąco, inny pisze na kłęcząco” — mówi przed Sądem Pan S.), a że nie bardzo potrafi, to czy jego wina? Z drugiej strony recenzent, którego zaproszono na występ i który zgodnie ze swoim sumieniem, temperamentem i racją społeczną napisał to, co uważał za słuszne...

Ale wróćmy na salę, gdzie komplet sędziowski rozpatruje tę sprawę możliwie z wszystkich stron. Próbuje nawet namówić Aktorów na eksperyment powtórnego występu „Mini-kabaretu” pióra Pana S.

— Czy wystąpiłby pan? — pyta Sąd Aktorka.

— Tak, ale za pieniądze.

— Czy wystąpiłaby pani? — pyta Sąd Aktorki.

— Tak, ale za pieniądze.

Sąd zamyśla się. Za drogi ten eksperyment. Rozumiem Aktorów, Gałczyński miał kiedyś, że za darmo pisze tylko grafoman. Nawiasem mówiąc Pan S. za teksty „Mini-kabaretu” nie wziął ani grosza.

Dziennikarz w nietłowej jest sytuacji. Skarży go Pan S., nie lubią wykonawcy. „Pluje żółcią na aktorów” — mówi przed Sądem Aktorka. Styszała od znajomych, bo, jak oświadcza: „recenzji pana W. i „Świerzczyka” nie czytuję”.

No i dobrze. A publiczności w klubie „Koliber” program się podobał. „Teksty wywoływały potężny śmiech” — mówi kolejny świadek, Kierownik Klubu. I Aktorka miała brawa — zresztą, jak zauważyła skromnie: „Jeszcze mi się nie zdarzyło schodzić bez braw ze sceny...”

Ale teksty — te nieszczęsne teksty — o których krytykę toczy się już od stycznia ta sprawa. „Czy można te teksty — pada pytanie — porównywać do „utworów” wypisywanych w toaletach publicznych?”

Podchwytliwe pytanie, więc Kierownik Klubu odpowiada na wszelki wypadek: „Nie wiem, nie bywam w toaletach publicznych”. Szczęśliwy człowiek — jak on to robi?

Sprawa się ciągnie — następny termin na kwiecień. Jak to długo jeszcze potrwa? Na Dziennikarza czekają nie zrealizowane audycje, na Pana S. kapelusze... Sprawa zdążyła się już stać głośna i choć niektórzy mi mówią, że wygląda to niepoważnie — jestem innego zdania. Rzecz w końcu idzie o granice krytyki i o to, w jakim stopniu prywatne hobby może wychodzić poza cztery ściany prywatnego domu — oddziaływać — źle oddziaływać — na kształtowanie smaku odbiorcy estradowego programu. Gdzie się kończy krytyka, a zaczyna obraza, gdzie kończy się osobista sprawa, a zaczyna kupa.

stałe — o lekkim. Przy jednym z tych zakładów jest szkoła zawodowa specjalna, w której uczy się młodzież o lekkim niedorozwoju umysłowym i młodzież głucha. Szkoła ma dziedzinę różnych kierunków zawodowych. Warsztaty są na własnym rozrachunku i wykonują plan usług i produkcji w wysokości trzech milionów złotych.

Dalszych 11 placówek specjalnych obejmuje młodzież głuchą, niedowidzącą, niedosłyszącą, przewlekłą chorą i nie dostosowaną społecznie. Łącznie, w 26 placówkach tego typu uczy się przeszło 4,5 tysiąca dzieci i młodzieży.

Mimo dużych osiągnięć i wielkiego dynamizmu w rozwoju szkolnictwa specjalnego na terenie Łodzi, a może właśnie z przyczyn tego dynamizmu, zaistniały pewne niekorzystne zjawiska, które hamują osiągnięcie jeszcze lepszych rezultatów rehabilitacyjnych. Na niektóre z tych zjawisk pragnę zwrócić uwagę, dokładniejsze bowiem omówienie ich przekroczyło-

by ramy niniejszego artykułu.

Szkoły specjalne w Łodzi organizowano przeważnie w starych, zwalnianych przez szkolnictwo normalne, budynkach. Wiadomo zaś, że jeśli budynek nie nadawał się dla dzieci o normalnym rozwoju, to tym bardziej nie powinien się w nim uczyć dzieci dotknięte upośledzeniem czy kalectwem. Wąskie korytarze, wysłizgane schody nie gwarantują bezpieczeństwa. Ciemne i ponure sale lekcyjne nie pomagają przewyciężyć kalectwa czy upośledzenia.

Najistotniejszą jednak bolączką jest brak sal gimnastycznych i boisk. Każdy przyzna, że dziecku niewidomemu, głuchemu czy niedorozwiniętemu umysłowo bardziej są potrzebne ćwiczenia gimnastyczne, niż normalnie rozwiniętemu. Usprawnienie fizyczne jest podstawą całego procesu rehabilitacji. Im lepszy jest poziom fizycznej sprawności, tym wyższy potencjał życia, ponieważ wyko-

nanie jakiegokolwiek ruchu zależy do siły, a wszystkie funkcje życiowe zależą od sprawności fizycznej. Każde z tych dzieci w przyszłości musi podjąć pracę fizyczną. Tymczasem większość szkół, w których się uczą, nie ma warunków do ich usprawnienia fizycznego. Ogranicza to możliwości usamodzielniania się dziecka w życiu codziennym i zawodowym.

Usprawnianie psychiczne i społeczne dzieci upośledzonych oraz troska o to, aby z lepszym skutkiem korzystały z nauki, wymaga dobrego wyposażenia szkoły specjalnej w urządzenia i pomoce oraz doskonalenia sposobów pracy nauczyciela. Na tym odcinku są również duże niedomogi.

Wiadomo, że aby udostępnić dziecku upośledzonemu umysłowo, niedowidzącemu, niedosłyszącemu lub głuchemu procesy, zjawiska czy treści nauczania, trzeba koniecznie posłużyć się odpowiednimi pomocami, urządzeniami czy środkami. „CEZAS”

produkuje pomoce, sprzęt i urządzenia dla szkół normalnych. Dla szkół specjalnych pomoce te nie zawsze są przydatne. Nauczyciel więc często sam musi je tworzyć. Wiele z nich można by upowszechnić, ale ze względu na nieopłacalność produkcji nikt się tego nie chce podjąć. Utrudnia to pracę nauczycielom szkół specjalnych i obniża poziom rehabilitacji dzieci.

Zróznicowanie kalectw wymaga wielu specjalności i bardzo szerokiej współpracy z placówkami służby zdrowia i innymi instytucjami. Zmusza to także nauczyciela do ciągłego wzbogacania swojej wiedzy i doskonalenia sposobów pracy. Okręgowy Ośrodek Metodyczny ma z tym duże trudności. Przy jednoczesnym obsadzie, bez pomocy instruktorów, praca ta jest niesłychanie trudna, a często wkładany wysiłek jest niewspółmierny do osiągniętych wyników.

Nie trzeba uzasadniać, że dzieci uczące się w szkołach

specjalnych ze względu na upośledzenia i kalectwa wymagają troskliwej opieki lekarskiej, nie tylko ogólnej, ale i specjalistycznej. Tymczasem niektóre z tych szkół w ogóle jej nie mają, np. wspomniana szkoła zawodowa specjalna.

Proces rehabilitacji dziecka upośledzonego wymaga nie tylko koncentrowania się na jego bieżących potrzebach, ale musi uwzględniać również jego przyszłość. To właśnie dyktuje konieczność ścisłej współpracy ze spółdzielczością inwalidzką i zakładami pracy. Współpraca ta, jak dotychczas, jest bardzo luźna. Najlepszym tego przykładem jest brak sensownego szkolenia zawodowego dzieci z dodatkowymi kalectwami, tzn. upośledzonych umysłowo czy głuchych, a jednocześnie dotkniętych np. epilepsją, niedowładem czy innym kalectwem.

Nie da się również pominąć braków w selekcji szczególnie upośledzonych umysłowo. Braki te występują dość jasnkawo na etapie szkoły

podstawowej, normalnej, gdzie dzieci są przetrzymywane. Stąd też w szkołach specjalnych podstawowych brak jest klas I, II a nawet III są nieliczne. Natomiast klasy, VI, VII, VIII mają po trzy, cztery oddziały równoległe. Również drugi i trzeci etap selekcji nie jest wolny od błędów. Wiele dzieci przy wnikliwych badaniach lub troskliwej opiece szkoły specjalnej, weryfikującej te badania, winno uczęść się w szkołach normalnych.

Dobra tradycja i sprzyjający klimat w rozwoju szkolnictwa specjalnego na terenie Łodzi pozwolą nie tylko przezwyciężyć trudności, ale również podjąć próby organizowania „nauczania specjalnego” w szkołach normalnych. W ten sposób zanobieżnie się przedostawaniu do szkół specjalnych dzieci o „kulturowym niedorozwoju”, czy też z pogranicza upośledzenia lub innych, mogących — przy zorganizowanej pomocy — uczyć się razem z młodzieżą normalną.

Turniej jednego wiersza

19. III. br. w „Dniu poezji z okazji uroczystego tygodnia klubowego” odbył się w klubie studentów w Łodzi turniej jednego wiersza.

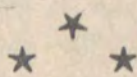
Jury w składzie: Roman Łoboda (przewodniczący), Henryk Pustkowski, Marek Wawrzkiwicz i Jan Witan przyznało dwie równorzędne nagrody i dwa równorzędne wyróżnienia.

Publikujemy wiersze nagrodzone.



A. Grun; Grafika

LUCYNA SKOMPSKA



wspominam obłąkanego poetę
z kliniki w Tubingen
jak rozdzielić wodę i ogień
boskie od śmiertelnego
codziennosc od nieskonczoności
wzywam dziwnego poetę Edgara Lee Mastersa
Jacoba który zawstydzony swoim smutkiem
pisał: pokonane przez czas
czy myślisz że wiatr genetyczny
przeciąg liczb huk zegarów limfa i krew
unoszą moje ciało nienaruszone
zamknięte w dziecinnej kryjówce
gdzie stoje wstrzymując oddech
co więc działo się z czasem który traćłam
narzekając
myśląc o bielejących głowach przyjaciół
podnosząc kurz wśród listów i notatek
piącąc
twoje palce krążą we wszechświecie
rozcierają przedmiot
rozmażają pojęcia miłość jest tylko
pekciem bzu i fruującym zegarem
stemplem na białym pośludku dziewczyny
punktem kółkiem połączonym i seksami
podpatrzonym pocałunkiem
to wszystko dzieje się zresztą
za naszymi plecami na drugim
na trzecim planie wśród obcych ludzi
i opłaconych statystów
glucha śmierć przemyka w głuchym tle
kładzie się u stóp kochanków
chce połknąć chaos grosik
rzucony przez lewe ramię
w wodę wielką i czystą
w źródło świętej Katarzyny
chce połknąć moje ciało
powolne jak sen o ciebie
skonstruowane przez ciebie
na wzór i prawdopodobieństwo
patrz: rzeka prochów przepływa
przez projektor 4, 3, 2, 1 wypchana
wiewiórka goni strzałę Elejczyka
w miłosnym napoju
podanym przez Andersena
w wietrze zasypia niebezpieczny czas
o którym zapominają współcześni poeci

FELIKS RAJCAK

Błogosławiony

Błogosławiony — poza wsią i wodą
On drew narąbie i siano naniesie
Krowy napoi gnój im spod nóg wyjmie

Czy pomyłony — jaką przyjmie pozę
Jeśli jest poza okolicą oka
Zyczliwej brać w młodych bareł chałup

A gdy noc przyjdzie on poza oborą
Słysz muzykę widel i łańcuchów
I ręce kładzie na sennej poświacie

A jego bracia śpią wtuleni w pierze
Tych wszystkich ptaków przetrąconych w locie

ENDRE ADY

Ja w młodych sercach żyję stale

Ja w młodych sercach żyję stale.
Próżno czyhać na moje życie,
Podle głuptasy, nędzne kanale,
Bo moje życie drzewem milionów.

Wiary młodości, wzloty zuchwałe,
Skryte marzenia buntownicze
Tym się zachować tylko udało.
Którym los krwawych nie szczędził ciosów

Właśnie, że będę żył i brał szturmem,
Co ogrom życia w mece nastrecza.
Nie tkną mnie brudy ni kalumnie,
Chłopców i dziewcząt bronią mnie serca.

Kwiat wiecznej wiosny już jest moim.
Próżno czyhać na moje życie.
Surowa, święta świętością mogił
Wiosna trwa wiecznie, żyje i kwitnie,

Obce twarze

Kiedy spoglądam na obce twarze,
Chylę ku ziemi z trwogą oblicze.
O Boże, ile jest różnych twarzy,
Ile odmiennych, których nie zliczę.

Ile złych oczu patrzy mi w oczy,
Ile czoi błędnie niemo przede mną.
Ile snów złudnych, skrytych tajemnic,
Spojrzeń spowitych w żalność bezdenną.

Ile oskarżeń na każdej twarzy,
Oskarżeń czasów przyszłych i przeszłych.
Raz po raz zerkam strwożony na nie
Jak peien skrucy w kajdanach grzesznik.

Kiedyś niejedno z tych smutnych oblicz
Umiało krwawo za siebie walczyć,
A dzisiaj wzrokiem się przeszywają
Jak przeciwnicy w gniewie zażarci.

Wspomnienia bojów toczonych dawniej
Dzisiaj już prawie na nich nie widać.
Za to we wszystkich ludzkich spojrzaniach
Płoną wyrzuty kłęski i wstydu.

Skoro na tylu obcych obliczach
Czai się jakieś skryte wspomnienie,
Chciałbym przynajmniej raz je zrozumieć,
Technieniem pogody je rozpromienić.

Z węgierskiego przełożył
TADEUSZ FANGRAT

RYSZARD BINKOWSKI

Odchodząca ballada

Luty przytupuje w opłotkach, ótrze
puje baraniec, a z sadów wypelza
kocio wieczór i sypie fioletem. Cha
ty mrużą żółte ślepią pod zastonka-
mi, za którymi gzwoni w kacie pół-
bas i bulgocą garnki z płynnym
smalcem, margaryną, olejem. Pławia
się w nich złote kule, przechodzące
w kasztan. I skaczą z patyczka i ta
rzają się weselnie w cukrze-pudrze
na półmiskach.

Idzie ostatkowy zapach z obejścia
w obejście.
A wieś już rzechtuje ostatkowe
przystrojenie.

Pelzną z kufrów pończochy, wcho-
dzą w taniec nożyc, które tną o-
twory na oczy. I upycha się wieś
słoma, smaruje grubo sadzą, farba-
mi, Kozik skacze w lipowym kona-
rze i wycina berło już dla ostatniego
króla, który się zagapił w sadzie w
tamten dzień styczniowy.

Przeło idzie pod gwiazdami król w
kwicistej kapie, a za nim drepcę
Cyganka z wróżba w oczach, języku.
Popędza ich chłopak w welwet-
owych portkach, w kapelindrze spla-
szczonym, z harmonią na plecach.
Obok daży czolgiści w uszacie. Po-
ciąga go czworonożne skrzyżowanie
świn z kundlem. Bo ta para to Kos
Janek i Szarik. Oni to wyparli roga
tego diabła z iglastym ogonem. Dia
beł huka po lesie i straszy na skrzy
żowaniu już tylko staruszków. Odle
ciały gdzieś anioły złotowłose, a
śmierć z kosą na ramieniu utoreła
w stawie Dobrze, że choć Baba Ja-
ga, wyciągnięta ze snu wczesnego
dzieciństwa, jedzie na mielicy przez
puchowe zastodole.

A ta piątka przebierańców jest ni-
kłego wzrostu, bo same to knoty z
wiejskiej podstawówki. Doroslejsi
ciągną spiryt pod łuska zakaskę.
Przepychają w zastodole postny
dzień, gdyż skurczyła się we wsi 3re
wniana ambona, a ksiądz stracił głos.

Wchodzą mały przebierańcy do iz-
by. Gra harmonia. Baba Jaga giba
się na sztylisku miody i śpiewa:

Przyszłam ja tu na ostatki,
nie mam ojca ani matki!
Ojciec z matką wysiedłone,
za granicę wywiezionie!

Młodej gospoynie poca się oczy,
gdyż widzi swoje dzieciństwo pod
szczęśliwą mową i czapa z kogutem.

A pod chatę największego we wsi
sknery trzech zamaskowanych i do-
brze natankowanych kawalerszczo-
k

ków bije w drzwi, lecz gospodarz
nie otwiera. Taszcą więc na schod-
ki wielki kamień i znikają w pod-
wórzu. Skrzypi wał. Przebierańcy
niosą balie z wodą i stawiają za ka-
mieniem, i łomocą w szyby, po czym
nikną w krzakach. Izba dudni, drży
od klatwy, trzeszcza drzwi zawarte,
lecz nagle puszczają, a w kurzawie
świetlonej gospodarz leci wprost do
balli! Gospoynie drze się, że zabity
na śmierć, ale przecież żywy, bo
klnie jak stu szewców!

Odpowiada tupoń, śmiech głośny
na drodze.
W dalszej izbie niebieskawa po-
świata ze szklanego ekranu. I po-
prebierańcy i cywile przewracają tu
półbasy. Janek Kos z Szarikiem krę-
ci się po izbie i śpiewa dla gospo-
darza, który ma trzy córki na wy-
daniu:

Dejta, ludzie, paćczków pięć,
przyjdzie do was dobry zieć!
A jak data paćczków sześć,
to przyjdzie tyż dobry teć!

Nagle domniemył Szarik przypa-
da do nóg usmolonego biesiadnika,
który pas odpina i wrzeszczy: —
Czekał, cholero, będziesz ojcu wstyd
przynosił dziadowniem!

Ale „pancerniak” już dawno za
progmem...

A u gospodarza najbogatszego wiel-
kie pomstowanie. Jakoż ów gospo-
darz dał za mało gorzałki przebra-
nym sąsiadom, którzy droga pomsty
spwnęli do studni pełen worek siec-
ki.

Udobruchał się nieco, kiedy mali
zaśpiewali przypochebnie:

A od lasu chmura topi,
tu sie majom dobrze chłopi!
Po zagonie roli majom
i gorzałke popijajom!

A król macha berłem, zamiata
kwicistą kapą i dalej ciągnie:

A w tym naszym polu
cybula się rodzi,
jedne mu wykopali,
a już drugo wschodzil! Hej!

Słońce w twarzy gospodarza, prze-
to leci do czapki zielony paperek.
Ida dalej. Ale przeciwników coraz
więcej, gdyż ściągają dorośli, pijani
prebierańcy z innych wsi. Dlatego
też mały za węgiel chałupy dziela
się pieniędźmi, jajkami, paćczkami.

Patrzy teraz na te rozbujane osta-
ki. A tam w jednej z chałup ci duzi
zatkali komin. Sadze wała na izbę,
zakrochmaleni biesiadnicy zatykają
szpary czym się daje. A tak wszystkie
umazani, że postronny pomyslił, iż
w środku zimy Murzyni czynią na-
jazd na tę naszą wieś. I tylko sy-
piące się przez opłotki słowo przypo-
mina, że to rodak daje wodze ję-
zykowi.

A u starych gospodarzy z krańca
wsi, gdzie nie doszła elektryka, zary-
wus meczywołek wypuścił na izbę
prawie tuzin wróbił. Gospodarze ska-
czą po łózkach, wrzeszcza, machają
ścierkami. A ptaki się tłuka, biją w
szyby, ściany, poniekiedy puszcza pa-

cynek z podogonia. Inne gubią piór-
ka. Aż dwa wróble stryknęły się
przy tym szkle naftówki, która leci
na stół. I byłyby we wsi ostatki,
ostatki...

Jest godzina 23.00 i wieś teraz sza-
leje. Ploty, furki wyskakują z za-
wiasów i wędrują w śnieżne zasy,
w obce zastodole.

A zwabiony chytrze paćczkiem pie-
sek gna przez wieś i łomocę i dudni
przywiązany do ogona garnkiem.

A przygluchy gospodarz biega po
obejściu, przeklina złodziei, którzy
skradli wiadra. A te wiadra dynda-
ją na wierchołku gruszki w sadzie.

Gasna zwolna okna, cichnie wesel-
ne ostatkowanie. Wieś wsuwa się w
sen lutowy, oprószone gwiazdami.
Tylko gdzieś samotny zapóźniony
prebierańiec zawodzi niby to beato-
wo, a niby ludowo:

Nie udawał Greka,
nie rób takiej miny,
bo ci, gnoctę, dzisiaj,
w trumbe dosolimy!

I szczególnie jeszce rozeżłony pies,
ale już sen miekkie, czarne palce
zapuszcza w obejście.

Niekiedy przerwie cisze ostrzy
wrzask, płaczowi dziecka podobny.
To miłosny głos kotów, którym się
przybliża ten godowy czas.

A spod okutanych sadów, z przysy-
panych kapuścisk wybiegają na pole
zające. Na ich grzbietach umyka e-
cho ostatkowej muzyki i glinie
gdzieś w niebokresie, tonie w czar-
nych lasach.

WROCŁAW TĘNI BUJNYM ŻYCIEM ARTYSTYCZNYM, A PRZEDE WSZYSTKIM TEATRALNYM. NIESPOSTRZEŻENIE NADODRZAŃSKIE MIASTO WYROSŁO W OSTATNIACH LATACH NA OSRODEK TEATRALNY O PROMIENIOWANIU — A NIE BĘDZIE W TYM PRZESADY — ŚWIATOWYM, NIE JEST TO PRZYPADKOWE ZJAWISKO, JAKKOLWIEK MOGA NAS, ODDALONYCH OD PROCESÓW NARASTANIA, ZASKAKIWAĆ EFEKTY TEGO WZROSTU.

„Normalne” teatry, jak niektórzy uczestnicy sesji we Wrocławiu nazywali teatry dramatyczne w tym mieście, to Teatr Polski, Teatr Współczesny i Teatr Kameralny. Ten pierwszy można również nazwać teatrem Skuszanek i Krasowskiego, indywidualność bowiem tej pary inscenizatorów i reżyserów odbiła się już wyraźnym piętnem nie tyle na dorobku repertuaru, co na sposobie interpretowania tego repertuaru, na własnym stosunku do materiału dramaturgicznego i zagadnień scenicznych. Można dyskutować, czy skłonność do implikowania utworu i dążność do wierności założeniom tekstu to już twórczy stosunek do dramatu, niemniej jednak konsekwentne rozwijanie nawet tak prostych założeń artystycznych nadaje charakter scenie.

Ostatnia premiera Krasowskiego to „Don Juan” Moliere’a, która poza urkami prostoty nie zachwyca specjalnie, a to głównie przez nie najlepszą obsadę aktorską. Do nielicznych wyjątków należał Witold Pyrkosz w roli Sganarela. Niecodzienna scenografia Władysława Hasłora stała się w „Don Juanie” magnesem przyciągającym publiczność. Kompozycja przestrzenna znakomitego artysty jest zbyt oryginalna, bogata w formie, w kolorze i tworzywie, żeby mogła stanowić harmonijny element inscenizacyjnego spektaklu. Jest ona jakby samodzielną wystawą na scenie, będąc równocześnie nieco szokującą oprawą plastyczną dla, bądź co bądź, już nie tak rewolucyjnego Moliere’a. Mimo, to, a może przez to, efekt jest kapitalny, a pomysł i odwaga realizacji o czymś świadczy.

We „Współczesnym” Andrzej Witkowski: „Stara kobieta wysiaduje” — Tadeusza Różewicza, w reżyserii Jerzego Jarockiego. Oczywiście nie stara kobieta wysiaduje Różewicza, tylko Różewicz „Stara kobieta...”, napisał, a Andrzej Witkowski jest dyrektorem teatru. Wrocław nie cierpi na brak poczucia humoru i jest wyrobionym teatralnie miastem. Widziałem reakcje publiczności na „przeplatankę tragikomiczną” — szczególnie wyrażoną w pierwszej części sztuki Różewicza w Warszawie i Wrocławiu. Wrocław reagował na „Stara kobieta...” bez pudła, jak mówią co pojętniejsze „wapiński”. Pierwsza część sztuki w reżyserii Jerzego Jarockiego robi duże wrażenie, szczególnie może się podobać jedna z wykonawczych roli Starej Kobiety, Maria Zbyszewska, Ina Nowicz i Maria Komorowska niewiele jej ustępują; dobry jest również Kelner, Miody — Edward Lubaszenko.

Druga część trochę przeladowana kompozycyjnie i przez to mniej klarowna, a nawet czytelna. Tlum postaci i rekwizytów scenograficznych przy równoczesnym rwananiu się i na

kładaniu metaforyzowanego dialogu — wywołuje uczucie znudzenia. Jednakże w tego typu zagęszczonej dramaturgii tkwi niepowtarzalność różewiczowskiej poetyki. Dziwne to? Wydaje się, że Różewicz bierze odwet w dramatach za ascezę swojej poezji.

Premiera (chyba nie najlepsza) „Fedry” Racine’a (reż. Romuald Szejda) dopełnia obrazu aktualnej

ctwem Jerzego Grotowskiego — oto korona, o której się mówi, że jest widoczna na całym świecie.

O „Kalamurze” wiemy, że jest jednym z najlepszych, jeżeli nie najlepszym, teatrem studenckim w kraju.

Teatr Pantomimy nie spędza snu z oczu nikomu — nie jest i nie był nigdy kłopotliwy; beniaminek i jedynaczek wyrósł sobie w przychylności na chłubę i chwałę nie tylko miastu. Oddziaływanie pantomimy da je się zauważyć nie tylko w teatrach dramatycznych. Wydaje się, że doświadczenia Tomaszewskiego nie są też obojętne Grotowskiemu. Sam zresztą mistrz Henryk coraz częściej reżyserując sztuki w teatrach dramatycznych, oddziałuje bezpośrednio na styl gry aktorów mówiących.

ROMAN ŁOBODA

Reportaż teatralny czyli wrocławskie ewenementy



„działalności scen dramatycznych. Jest to pejzaż nie pozbawiony oryginalnych i śmiałych akcentów, co w połączeniu z dobrą muzycznie operą i niezłą operetką stwarza solidną głębię, na której wszelkie poszukiwania i wysublimowane gatunki teatralne mogą swobodnie zakwitać. Już w tej, jakby rzec można, normalności teatralnej widać, co jest „tajemnicą” wzrostu wrocławskiego ruchu teatralnego. Ogromna aktywność w podejmowaniu nowych inicjatyw! Toteż początkowo stwierdzić nie, że świetność teatralna piastowskiego grodu nie jest przypadkiem, daje się uzasadnić, że tak powiem, historyzoficznie. Śmiałość w podejmowaniu ryzyka oraz upór i przężność w realizowaniu nowego — bez tych cech działania powrót polskości na wypaloną ziemię i wykaraczowaną tradycję nie byłby możliwy. Nie dziw nego zatem, że taki otwarty klimat zarówno na odwagę przekazu jak i odbioru, sprzyjał rozwojowi niezwykłych, a nawet ryzykownych koncepcji, co w odniesieniu do sztuki więcej zazwyczaj korzyści przynosi niż szkód.

A zatem Teatr Pantomimy Henryka Tomaszewskiego i Teatr-Laboratorium wraz z Instytutem Badań Metody Aktorskiej — pod kierowni-

Tomaszewski aktualnie w jednym spektaklu pokazuje: choreodram pt. „Gilgamesz” oraz poemat pantomimiczny „Bagaże”. „Gilgamesz” jest „swobodnie opracowanym na podstawie eposu sumeryjskiego choreodramem”. Piękno tego widowiska scenicznego polega na czystości i oryginalności kompozycji oraz na doskonałej realizacji teoretycznych założeń pantomimicznych Tomaszewskiego. Warte jest podkreślenia, że dyrektor pantomimy wrocławskiej nie zamyka swej twórczości scenariuszowej i choreograficznej w jakiejś ostatecznej formule artystycznej. Tomaszewski, uważając język za nie dość precyzyjny instrument wyrażania myśli i uczuć na scenie, sądzi, że można to uczynić w sposób doskonalszy, posługując się „językiem obrazów” czyli pantomimą. Pantomima wrocławska nie nawiązuje zatem do doświadczeń pantomimy francuskiej; Tomaszewski wyraźnie i od początku wiąże swoje poszukiwania z teatrem XX wieku, z jego zagadnieniami; sam niejako wychodząc z teatralnego widzenia pantomimy („Teatr Henryka Tomaszewskiego poszukuje najwłaściwszych sposobów ukazania ruchu i jego przemian dla wyrażenia najistotniejszych problemów ludzkiej egzystencji”)

coraz głębiej i szerzej wchodzi z doświadczeniami pantomimy na sceny dramatyczne w kraju i za granicą.

„Bagaże”, poemat ten wypełnia pozostałą część wieczoru pantomimicznego; jest bogatszy scenograficznie i mniej przejrzyście kompozycyjnie. To już naprawdę niemy teatr, z bardzo współczesną fabułą („Pantomima wrocławska, jest pantomimą zespołową, która zerwała ze stworzonymi przez Marceau popisami mima solisty, z pokazywaniem blahych wydarzeń, wprowadzaniem postaci Arlekinów, smutnych i naiwnych Pierrotów i Bipów.”)

W obu pantomimach muzyka stwarza nastroj lub tło, nigdy jednak nie staje się elementem ilustrującym fabułę. W sumie wieczór bogaty w przeżycia estetyczne, nie pozbawiony siły angażowania refleksji.

Przeszczepiony z Opola do Wrocławia Teatr Grotowskiego znalazł tu grunt do rozwoju i znakomicie się przyjął. Wrocław nie bał się tego dość obrazoburczego tworu. Przeciwnie, stworzył artystom doskonałe warunki bytowe i otoczył życzliwą troską rozbudowany w Instytut Badań Metody Aktorskiej teatr. Cokolwiek by się powiedziało o wrocławskim „Laboratorium”, nie można zaprzeczyć, że miasto nie czekało na zagraniczny rozgłos Teatru Grotowskiego i udzieliło mu kredytu zaufania. Dług został spłacony. Wykłady i pokazy Grotowskiego cieszyły się ogromną popularnością a badania metody aktorskiej zainteresowały i wzbudziły uznanie całego świata teatralnego. Nikt już chyba z teatromanów zagranicznych nie przejedzie przez Polskę, nie wstępując do Wrocławia.

„Udział” w przedstawieniu „Apokalypsis cum figuris” poprzedziło spotkanie z Jerzym Grotowskim, autorem scenariusza i reżyserem sztuki.

Dyrektor Teatru-Laboratorium zwierzył się nam, że jest człowiekiem, którego myślenie teatralne kształtuje się podczas działania i poprzez dialog. Biała kartka papieru wywołuje w „jego głowie puszkę”. Rozpoczęliśmy więc dialog, zadając pytania Grotowskiemu, on je zapisywał, a odpowiedzi ułożył mu się w powiązaną logicznie wypowiedź na temat genezy powstawania Teatru-Laboratorium i Instytutu Badań Metody Aktorskiej. Nim parę słów na ten temat — jedna ciekawostka. Pierwsza książka teoretyczna Grotowskiego ukazała się w języku angielskim. Powstała ona właśnie drogą dialogu-wykładu nagrywanego na magnetofon w języku francuskim, którym Grotowski jako tako, jak sam twierdzi, włada. Całość została przetłumaczona na język angielski, którego z kolei autor weale nie zna. Tak więc pierwszą swoją książkę Grotowski nie będzie mógł, bez pomocnego tłumacza na język polski, przeczytać, tak jak nie mógł przeprowadzić jej korekty przed drukiem.

W Teatrze-Laboratorium okres prób, eksperymentów i zmian nigdy nie kończy się po premierze. Każdy aktor traktuje swą rolę jak indywi-

dualne dzieło, pracuje nad nią bezustannie, spontanicznie, aż do ostatniego przedstawienia, a reżyser koordynuje ten proces tworzenia i sprowadza go do harmonijnej całości.

W ten sposób poszukiwanie coraz to doskonalszych środków wyrazu dla jednego utworu mogłoby nie mieć końca, jak końca nie ma rozwój doskonałości? — To pytanie Grotowski zbył pozorną odpowiedzią. Sądzę zatem, że jednak nasze wyobrażenie doskonałości jest niedoskonałe, a więc zrezygnujemy kapitulujemy przed nią.

Odbiór tego typu teatru też ma ograniczony zasięg, z czym muszą się liczyć jego twórcy, bo twórcami Teatru-Laboratorium, jak twierdzi jego dyrektor, są wszyscy wykonawcy. Teatr w swoich poszukiwaniach doszedł obecnie do granicy krytycznej, „przed nim jest puste pole”. Pewne, kształtujące się in statu nascendi idee, jak mówi Grotowski, zostały wyeksploatowane. „Apokalypsis cum figuris” jest jak gdyby ostateczną konsekwencją tamtej drogi.

Przyznam się, że po tych nieco magicznych wypowiedziach poczułem niepokój też nieco metafizyczny. Widziałem parokrotnie Teatr Grotowskiego, ale już sporo lat temu. Przed wejściem na salę-widownię Teatru-Laboratorium, który miesiąc nie więcej niż 40 do 50 osób, obowiązuje chwila skupienia. Odpowiedniej koncentracji dokonalem. Nie będę się wdawał w analityczną ocenę sztuki, gdyż wymaga to oddzielnego miejsca, zresztą ogólne uwagi, w których miesiąc się również Apokalypsis... — jako przedłużenie i szczytowa konsekwencja poszukiwań „Laboratorium” znajdzie Szanowny Czytelnik niżej w eseju Bogusława Czarmińskiego. W każdym razie w atmosferze średniowiecznych misterii rozgrywa się rzecz w doskonałej sprawności ruchu i gestu, nie obciążonego konwencjonalnymi nawastwieniami. Misterium wygrebywania archetypów i inwokacji do współczesności odbywa się w abstrakcyjnej i jestymy w kręgu jego działania. Nie uświadomione złoza naszej psychiki są bombardowane porwanymi dialogami i monologami wypowiedzianymi poprawnie, lecz dykcją mowy potocznej. Bieg obrazów, ruch i gest są utrzymane w tempie i stwarzają wrażenie wstrząsającej syntezy doli i niedoli ludzkiej.

Niepokój nie ustąpił. Metoda wywracania „duży” człowieka podszewką na wierzch jest okrutna, ale nie jest szarlatanstwem maniaka. Catharsis bolesny, lecz radość oczyszczenia koł. Grotowski siedzi w kącie, na laweczce w poczekalni i obserwuje wychodzących przed ciemne okulary. Szaman o fizjonomii poczytowego urzędnika.

Wrocławskie „ewenementy”, to już osiągnięcia na skalę światową. Oni nie boją się ryzyka eksperymentu i „w tym szaleństwie jest metoda”, bowiem przegrane bitwy muszą być „wkalkulowane” w plan wygranych wojen, także i w dążeniu do postępu kulturalnego. „Przeklęta przeciętność” nie grozi Wrocławowi, a bitew przegranych niewiele.

BOGUSŁAW CZARMIŃSKI

Teatralne zuchwalstwo

Teatr Jerzego Grotowskiego bliższy zuchwalstwem, jego doświadczenia i wyznania są prosię ciępiłwością teatru tradycyjnego. Toteż jedni wołają: „(...) pokaz bezwzględnej literackiej kpiłny i wstydlivej nieudolności aktorskiej podszewki się pod jego teatrowego, artystycznego eksperymentu (...) Obwiniam tych krytyków i recenzentów, którzy — psychologiczna zagadka? — ze śmiertelną powagą dla się nabijać w butelkę i wypisują androny o spektaklach takich i owakich, macąc w głowach najlepsze woli miłośników teatru i stosując zastrzyki snobizmu uderzeniowo, w książkach drąkając (...).”

Inni z zachwytem: „Dialektyka oświecenia i apoteozy gdzie groteskowy kabotyzm przenika się z tragicznym i demontującym męczeństwem. Zaskakujący konglomerat groteski, dramatu, satyry i grozy. Wołanie a rebours, wołanie poprzez zagęszczenie prawdy, przez pokazanie tego, co w naszym zbiorowym doświadczeniu — najokrutniejsze i najbardziej przejmujące. Religia, która polega na bliźniarstwie. To miłość, która wyraża się przez nie nawieść.”

Tamci znowu bezradnie: „Za stanawiam się — chyba nie tylko ja sam — jak zakwalifikować to, co oferuje nam do o-

glądania i słuchania (jednakawangardowy w pewnym sensie) teatr. Parodia, persyflaż, satyra? Ekwilibrystyka słowno-fizyczna nie wynika na pewno ze snobizmu. Jest to bowiem bardzo rzetelna praca nad słowem mówionym, jest dobra, a nawet piękna recytacja przy wprost fenomenalnym opanowaniu pamięciowym tekstu. A jednak coś się nie zradza!”

Niebosha teatralne najbardziej nie znoszą szczeroci czynnej, a jeszcze bardziej, jeśli dziecko teatralnej sztuki nie chce przy stosować się do aktualnego lądu, nie chce praktykować cnoty. Jest to Grotowski grzesznikiem z wyboru, co może oznaczać, że świadomość tego bliźniarstwa jest nadzieją ocena teatru; jest też prorokiem usiłującym wy-rastać ponad normalność, co może oznaczać, że czeka go los teologów, którym z atrybutów wiary pozostaje tylko sutanna. Ale nie jest wykluczone, że na zwlemy go kiedyś... Sganarelem życia teatralnego, powtarzającym na różne sposoby swój protest przeciw obojętności świata sztuki teatralnej. I choć może się komuś wydawać, że krzyk Jerzego Grotowskiego o odrodzenie teatru niewiele pomoże, to każdy chyba przyzna, że krzyczący jednak trzeba.

O cóż on woła? Na czym polega jego zuchwalstwo? Wzięło się ono z przeświad-

zenia, iż teatr wyperany jest przez masowe formy widowisk, jak kino i telewizja. Teatr więc musi bronić gwałtownie zagrożonej istnienia. A bronić się może tylko swą teatralnością. A czymże jest teatralność? Jedynym w teatrze — powiada — co nie jest ani plastyka, ani literatura, ani też nie jest ośmiagalne dla filmu — to żywy miedzy ludzki kontakt, więc pomiędzy aktorem a widzami. Żeby ten kontakt osiągnąć trzeba po szukać nowych form sztuki teatralnej i wykształcić nowy typ aktora.

Stąd w swych inscenizacjach Jerzy Grotowski znosi rampe sceniczną — aktorzy zwracają się wprost do widzów, spacerując pomiędzy nimi i wraz z nimi siadając. Scena i widownia stanowią jednolitą przestrzeń teatralną. Jego reżyseria nie dotyczy są mego tylko zespołu aktorskiego; buduje przedstawienie z aktorów i widzów, organizuje ceremoniał teatralny na styku dwu ensembli; zbliża je wzajemnie, wprowadza je w styk, w zwarcie, w kontakt, we współgrę, tak, aby „przeskoczyła iskra”. Szuka czynnika, który mógłby atakować „podświadomość zbiorową” widzów i aktorów tak, jak działa się to w prehistorii teatru, w okresie żywej, a pozornie „maricznej” wspólnoty wszystkich uczestników przedstawienia.

W tak pomyślanym teatrze, aktor, będący naczelnym twórczym przedstawieniem, jest jak gdyby przedstawicielem wspólnoty widzów, prowokującym ją i wciągającym do współuczestnictwa w obrzędzie teatralnym. Przy czym i widzom narzuca się czasem konkretne role. W ten sposób wstępuje między widzem i aktorem sta-

je się prawie więźa dosłowna.

Między teatrem — powiada J. Grotowski — który ilustruje il teraturę, a teatrem, który ją niszczy, znajduje się warian efektowny, zachowujący autonomię teatru i wartości literatury; wariant polegający na zerwaniu inscenizacji ostrej z ostrym tekstem, na ich sprzecznosci i jedności. Przedmiotem takiego zabiegu są „wydestylowane” treści inscenizowanej sztuki — mity, symbole, motywy, które stanowią zbiór doświadczeń i znaków elementarnych sytuacji ludzkich („archetypy”). Wychodząc z założenia, iż tylko to afirmujemy, co przetrzyliśmy, wprowadzamy do tego, by archetyp został ujawniony i uchwycony w swojej istocie. Aby jego istota mogła być uchwycona — mit ukazany jest w sprzecznych aspektach i kontrastowych skojarzeniach. Wówczas następuje wypowiedzenie archetypu z „podświadomości zbiorowej” w „świadomości zbiorowej” i zachodzi możliwość — jak to określa J. Grotowski — złączenia go, spożytkowania jako modelu-metafory sytuacji człowieka, nadania mu funkcji poznawczej czy na wet, być może, wolnościścielskiej.

Mając takie zamierzenia, Jego teatr, dobiera sobie repertuar, umożliwiając konsekwentną ich realizację. „Orfeusz” Jean Cocteau wziął na warsztat nie dlatego, jak zapewnia Ludwik Flaszen, że autor uchodził za „papieża nowoczesności”, ale po to, by prowadzić z widzem dialog na temat śmierci, miłości i przemijania, racji życia itp.

„MISTERIUM BUFFO” W. Ma jakowskiego zaadaptował, by po litycznym aspektem tego utworu nadać wartość ogólniejszą,

światopoglądową, by ukazać dla lityczności zmian rzeczywistości.

Erotyk staroindyjski według dramatu Kalidasy — „STAKUN TALA” — postuluje Grotowski mu do podjęcia archetypów miłości „z przeznaczenia”, aby wywołać świadomość ze skrzepów myślowych przez ukazanie paradoksw miłości.

„DZIADY” A. Mickiewicza stały się okazją do wywartościowania tradycji, do wydestylowania z tradycji wszystkiego, co ma walor współczesności; (w tym spektaklu archetypem było „całopalenie”, akt „samofary”).

„KORDIAN” wg J. Słowackiego go znalazł uzasadnienie w prze świadczeniu, że celowe jest skonfrontowanie sensu wzniosłego czynu jednostkowego z sensem czynów zbiorowych.

„AKROPOLIS” wg St. Wyspiańskiego podejmuje mity i motywy pojawiające się na krańcach ludzkiego doświadczenia. U Wyspiańskiego — „plemion cmentarzysko”, u Grotowskiego — obozy koncentracyjne.

Wystawienie „KSIĘCIA NIEZŁOMNEGO” było niemalże zabiegiem chirurgicznym na feno menie „niezłomności”. Jest tedy widoczne, że teatr Jerzego Grotowskiego atakuje i zagadnienia teatralnych treści i teatralnej formy. Dzięki temu stał się nieoczekiwanie problemem podstawowych poglądów na teatr (jego problemów i kompleksów), które nie mogły do tychczas znaleźć okazji do zwer ryfikowania. Ale, nade wszystko, działając na skutek silnego odczucia impasu teatru tradycyjnego, z przeświadczenia, że choć na co dzień kształtuje on gust publiczności — w epoce syntezy sprzeczności i zmian tradycyjne formy teatru nie od

powiadają już sposobowi, w jaki publiczność pojmuje świat. W tym podobny jest ludzom Wielkiej Reformy, którzy także poszukiwali takich form wrażeń teatralnych, które dowiodłyby do podjęcia archetypów miłości „z przeznaczenia”, aby wywołać świadomość ze skrzepów myślowych przez ukazanie paradoksw miłości.

„DZIADY” A. Mickiewicza stały się okazją do wywartościowania tradycji, do wydestylowania z tradycji wszystkiego, co ma walor współczesności; (w tym spektaklu archetypem było „całopalenie”, akt „samofary”).

Czytelnika specjalnie zainteresowane „metoda Grotowskiego” pozwalam sobie odstąpić do swego szkicu pt. „Teatr psychicznej ekscytacji” („Kultura” nr 9 z dn. 26.II.1967) do „Rozmowy z Jerzym Grotowskim” opublikowanej w „Tygodniku Kulturalnym” nr 17 z dn. 23.IV.1967 oraz szkicu pt. „Apokalypsis cum figuris” („Kultura” nr 19 z dn. 11.V.1969).



MONTE VERDE TO MARKA WINA I NAZWA MIASTA. ZIELONA GÓRA, PO PROSTU. MONTE VERDE MA SMAK ZIOŁOWY. A JAKI JEST SMAK ZIELONEJ GÓRY? NA PEWNO SKŁADA SIĘ NAJWIĘCEJ INGREDIENTY NIŻ NA WERMUT. WIEM TYLKO, ŻE 700 LAT BURZLIWEJ HISTORII TEGO MIASTA NIE MIAŁO SŁODKIEGO SMAKU. ZA DUŻO BYŁO GERMAŃSKIEJ PRZYPRAWY.

KAROL BADZIAK

Władze Zielonej Góry za prosiły niedawno dzień nikiarzy na degustację nowego już miasta. Powróciło ono do Polski w dniu wkroczenia do niego pierwszych jednostek Armii Czerwonej. Za wyzwolenie całego tego regionu zapłaciło życiem parę tysięcy żołnierzy radzieckich, zginęło wśród nich 19 generałów. To jest wyraz zaciętości walk i determinacji, gdyż jak wiadomo, generałowie łatwo na wojnie nie giną. 15 lutego 1945 roku w oknach miasta pojawiły się białe flagi. Biało-czerwonych nie miał kto wywieszać. Autochtoni, którzy przez pięć wieków przeżyli poczucie polskiej przynależności, znajdowali się na wsłach. Germanizacja wyrzuciła ich z miasta. Ofensywa radziecka wyrzuciła z kolei z miasta Niemców, zostało ich po wojnie zaledwie pięć tysięcy. Przed woj-

na mieszkało tu dwadzieścia pięć tysięcy osób, przeważnie emerytów, urzędników, sklepikarzy. Zielona Góra była prowincjonalną dziurą na wschodnich rubieżach Rzeczy i niewiele się nią zajmowano i przejmowano. Znajdowała się tutaj zaledwie jedna fabryka, produkująca tkaniny wełniane. Z produkcji wina w XIX wieku zrezygnowano. Winorośl zdziczała. Wiotki i delikatny ten krzew zjawił się w Zielonej Górze przed wiekami wraz z chrześcijaństwem, prawdopodobnie dla potrzeb liturgicznych. Po raz wtóry natomiast wprowadzili go przed kilkunastoma laty tym razem nie zakonnicy lecz świeccy gospodarze tego terenu. Czyżby również dla potrzeb liturgicznych? Nie, choć to brzmi jak dobry żart, tutejsze wino eksportowane jest na Węgry. I do Ameryki. Na rynek krajowy

idzie raczej miejscowy jarzębiak. Więc miłośnicy tego trunku twierdzą, że jego na zwa świetnie nadaje się na imiona dla młodych Polaków. Jarzębiak dla chłopca — to jak kalina dla dziewczyny. Jest w Zielonej Górze hotel „Pod Orłem”, zaś lotne władze miejskie rezydują pod Bacchusem. Urządzili sobie i ludności winiarnię w piwnicach Ratusza. Winiarnia nazywa się „Bacchus”, atmosfera w niej panuje faktycznie dionizejska. Ale w dze są trzeźwe. Najpierw nas obwieziono po mieście, pokazano kubatury domów, zakładów, szkół, dopiero po tem zaproszono do „Bacchusa”, gdzie pilnie stuchaliśmy referatów wygłaszanych przez referentów.

Gospodarz miasta, Kazimierz Mamak, prosił wszystkich, żeby nie mylili Zielonej Góry z Jelenią Górą. To się podobno zdarza, nawet niektórym centralnym urzędom w stolicy. Daliśmy słowo, że nie będziemy mylić. Zielona Góra leży, po pierwsze, wśród równin pięknej Ziemi Lubuskiej i jest od dwudziestu lat miastem wojewódzkim, czego nie da się powiedzieć o powiatowej Jeleniej Górze. Jest ponadto Zielona Góra miastem przemysłowym. Znajduje się tu „Polska Wełna”, słynne zakłady produkujące 20.000 metrów tkanin na dobę. Zakłady „Lumel” — trzecie co do wielkości po „Elwro” (Wrocław) i „Elpo” (Warszawa) jeśli chodzi o produkcję aparatury elektrycznej. Specjalność „Lumelu” to urządzenie pomiarowe. Połowa produkcji idzie na eksport. „Za stal” — produkuje wagony elektryczne. Poza tym Lubuska Fabryka Zgrzeblarek Bawełnianych, Lubuskie Zakłady Tkanin Dekoracyjnych i Dywanów, Wytwórnia Win, Wytwórnia Wódek Gatunkowych, Fabryka Mebli. To jest baza przemysłu w Zielonej Górze, zatrudniająca 20 tys. ludzi, co jak na 70-tysięczne miasto nie jest wcale mało. Wszystkie te zakłady zostały właściwie rozbudowane w ostatnich 25-leciu. Ludzie, którzy się tutaj zjawili po wojnie, zastali puście domy i małe fabryczki. Zaczęli od poszukiwania części maszyn, które uciekający Niemcy wlekli za sobą. Pierwszym uruchomionym zakła-

mistrz zebrał mieszkańców miasta i w ramach pierwszej czynu społecznego pojechali wszyscy zbierać chleb z pól, a z sadów owoce. Bywało, że i krowę ryczącą w oborze trzeba było wydoić, choć pierwsi osadnicy lepiej z bronią potrafili się obchodzić niż ze skopkiem. Dziś są to już starsi panowie, elegancy, zacięci, szanowani obywatele miasta wojewódzkiego, którzy spotykają się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki na pogawędce przy pół czarnej. Z wielkim sentymentem wspominają tamte czasy, kiedy to na ulicy w sposób odruchowy mówili się głośnie po polsku. Głośna mowa sprawiała radość, dowodziła wolności.

Zjechali do Zielonej Góry ludzie z różnych stron Polski. W pierwszych dniach mocno żyli, szybko się żenili. Rezultaty ich witalności wypełniają dziś gwarem szkolne boiska. Pierwsi dożyli osadnicy są już dziś przeważnie na emeryturze. Wyrosło drugie pokolenie urodzone na miejscu.

Samo miasto jest bardzo ładne, schludne, domy otynkowane, ulice czyste, sklepy wzorcowe. Rozrasta się na obrzeżach nowymi blokami. Połowa ludzi mieszka w nowych domach. Początkowo budowano nowe bloki bez centralnego ogrzewania i gazu, teraz standard jest pełny. Architektura jak wszędzie, bloki uniformizują wygląd polskich miast. Niedawno oddany został do użytku nowy hotel „Polan”. Z wyjątkiem Łodzi prawie każde miasto w Polsce ma już choć jeden nowy hotel.

Zielona Góra jest w gruncie rzeczy zupełnie nowym miastem, nie tym, które odzyskaliśmy. Odzyskaliśmy prowincjonalne miasteczko, gdzie każda ulica prowadziła w pole, stworzyliśmy miasto trzykrotnie większe, w którym tętni wielkomięskie życie, miasto z rozmachem, o dużej randze gospodarczej, administracyjnej i kulturalnej. Ważne, czy istnieje drugie 70-tysięczne miasto w kraju, gdzie tak intensywnie rozwija się i kwitnie życie kulturalne. Zielona Góra jest pod tym względem swoim istym fenomenem. Rozwinęła się na przestrzeni ostatnich paru lat jako poważny ośrodek kulturotwórczy, stworzyła środowisko literackie, dziennikarskie, znakomite środowisko plastyczne, teatralne, naukowe, muzyczne. Nie są to jakieś twory skonstruowane przemysłowymi metodami administracyjnymi na propagandowy użytek. Życie kulturalne pulsuje w tym mieście w sposób autentyczny, inspirowane z dołu, wspomagane z góry. Nie piszę tego przez grzeczność za doznana gościnność, lecz taka jest prawda. W Zielonej Górze przyjęli się zwyczaj,

Monte Verde

dem była „Polska Wełna”, wtedy mała fabryczka, obecnie — olbrzymi kombinat.

Jak na pionierów przystało, najpierw pojawili się w mieście mężczyźni. Zaczęli przyjeżdżać na przełomie maja i czerwca roku 1945. Rządź miastem jeszcze nie mieli burmistrz, monetą obiegową była marka, a banknotem przejściowym od marki do złotówki było „pół litra”, plynu raczej nie gatunkowego. W czerwcu przyjechał też polski burmistrz, Jan Klementowski. Niemiecki burmistrz, kiedy się o tym dowiedział, w nocy uciekł z miasta. Nową władzę czekały trudne zadania i wiele niespodzianek. Na polach wokół Zielonej Góry stało dojrzałe zboże. Bur-

że w niedzielę po sumie i-dzie się całą rodziną do galerii na wystawę plastyczną. Grupa plastyczna jest tu wyjątkowo aktywna, skupia sześćdziesięciu członków ZPAP. Podkreślam jeszcze raz — Zielona Góra jest miastem wielkości Piotrkowa. Ma kilku pisarzy tutaj wyrosłych, jak Irena Dowiegiewicz, Trziszka, Wachowiak, Soliński. Posiada wielu dziennikarzy o ogólnopolskich nazwiskach, najbardziej znana jest Zatrzybówna. Zielonogórski Teatr im. Kruczkowskiego liczy się w kraju jako placówka o wysokiej randze artystycznej. Utworzony został z najprawdziej inicjatywy społecznej, powstał z teatryku amatorskiego przy zakładach bawełnianych. Pierwsza kulturalna placówka zawodowa w mieście urodziła się więc w fabryce. Podobnie orkiestra symfoniczna wywodzi się z zespołu amatorskiego.

Wszystko, co w tym mieście stworzono, powstało bez żadnej tradycji, bez wzorców. Zielona Góra swymi inicjatywami kulturalnymi mnoży dla siebie szacunek, podziw i zastanowienie. Co dwa lata odbywa się tutaj sympozjum i wystawa tak zwanego „Złotego Grona”. Impreza ma charakter międzynarodowy. Spotykają się na niej artyści malarze i teoretycy sztuki z wielu krajów europejskich.

Oddzielnego omówienia wymagałoby Lubuskie Towarzystwo Kulturalne. W ciągu trzynastu lat istnienia wydało 80 tytułów prac poświęconych regionowi. Działają także Lubuskie Towarzystwo Naukowe. Skupia około 300 osób, w tym 5 docentów, 40 doktorów. Zaledwie przed pięcioma laty powstała tu pierwsza wyższa uczelnia — Wyższa Szkoła Inżynierska. Liczy sobie 1500 studentów. W najbliższym czasie ma powstać Wyższa Szkoła Nauczycielska. Na reputację Zielonej Góry pracuje także popularny Festiwal Piosenki Radzieckiej, Międzynarodowy Festiwal Pieśni i Tańca, Lubuskie La-to Filmowe i Dni Zielonej Góry.

W sumie odbywa się tu sporo imprez, które ożywiają życie kulturalne miasta i dowodzą wysokich kwalifikacji organizatorskich miejscowych działaczy kulturalnych. Wszystko to składa się na popularność, wysoką rangę i charakter miasta, które prowincją jest tylko w sensie czysto geograficznym. Zielona Góra jest ponadto miastem wielkich perspektyw rozwojowych. W niedalekiej przyszłości ma liczyć 300.000 mieszkańców, tj. tyle ile Lublin czy Szczecin. Jak widać solidnie się do tego przygotowuje. Więc chyba to nie przypadek, że w maju tego roku tutaj odbędzie się Zjazd Pisarzy — ten nieformalny sejm kultury polskiej.

Pamiętnik Krzysia

Diabli tam wiedzą za co. Ale starzy się wściekają. Postanowilem na ten czas wybiec z domu. Niech się szarpią nawzajem. Nic mnie to nie obchodzi.

Chcemy jechać z chłopakami do Gdańska. Tam łatwiej o wszystko. Władek mówi, że tam jest najwięcej takich cudzoziemców, którzy nigdy nie mogą spamiętać, ile mają kieszoni i ile pieniędzy. Na wabią mamy zabrać dwie babki.

Pożyliśmy od ciotki trochę pieniędzy, niby dla mamy. Nie widziałem większej frajerki. To śmieszne. Czyżby ona mi ufała?

Ojciec już nieraz nie przychodził na noc do domu: Ja i Baśka widzieliśmy jak szedł pod rękę z jakąś sztywnie ubraną damulką. Rodzicom to często wydaje się, że jak ma się szesnaście lat jak ja i siedemnaście — jak Baśka, to jeszcze nie się nie dostrzega. Głupie wyobrażenie. Widzimy więcej

niż im się wydaje. Wiedzieliśmy też, że ojciec często nocuje u tej pani. Ojciec boi się matki i gdy dowiedział się, że my wiemy, to przyrzekł dać nam od czasu do czasu trochę pieniędzy. W porządku. Ostatecznie nie będę zmuszony przyciąć im po kieszeniach i torebkach.

Byliśmy z Władkiem w kinie. Wdechowy film. Gdy ci z filmu się całowali, Władek cmokał głośno i śmiałyśmy się. Jakaś facetka powie działa — smarkacz — więc Władek powiedział, że widocznie jej żal, że to nie ją cmoknął. Złościła się i coś tam jeszcze mamrotala pod nosem, ale nie słuchałem jej, bo film był bardzo ciekawy. Po kinie Władek powiedział, że warto było coś wypić, aby było wesoło. Kupiliśmy cieniuchę i poszliśmy do parku. Władek pytał mnie czy całowałem już jakąś dziewczynę... no i w ogóle. Powiedziałem mu, że tak, ale po prawdzie to jeszcze nie próbowałem. Potem mówiliśmy o jego starych i o piłce nożnej. Rozboliła mnie głowa, ale mu nie mówiłem, bo powiedziałby, że jestem mięczak.

Władek powiedział mi, że pójdziemy opylić na bazar jesionkę jego starego. Wpadnie za to trochę czerwonych i będzie można pójść „w Polskę”. Trochę się bałem, że może być wpadka, ale Władek rozemśiał się i powiedział, że jego ojciec chla jak wieprzek i tyle rzeczy już przepił, że sam nie wie co ma a czego nie ma.

Matka już wie, że zamiast do szkoły, chodzę gdzie indziej. Ale się darła. Śmiać mi się chciało, bo gorzej wyglądała niż stara Rzepecka, co pierze w kamienicy. Krzycała, że jej krwawica idzie na marne, a ja jestem oprychem, co to dziurki nie robi, a krew wypije. Baśka stanęła za matką i wystawiała jej z palców rogi, ale cyrk. Aż się zwinąłem ze śmiechu. Matka przylała jej ścierką po głowie. Chciała i mnie sięgnąć, ale uciekłem.

Baśka odpaliła mi dzisiaj trzydzieści złotych. Mówi, że ma już

pracę, a dodatkowo będzie pracować jako modelka bo ma figurę. Będzie wkładała różne sukienki i pokazywała ludziom.

Wyjęła z torebki trzysta złotych i powiedziała, że to zaliczka. Ojciec krzychał, że jak nie pójde do szkoły, to zaprowadzi mnie na milicję, aby się mną zajęli. Też gadanie. Wcale nie chcę być kryminalistą. Nic złego nie robię. Do nauki nie mam głowy, wołałbym pracować. Taki Zenek Barcik pracuje jako pomoc monter. Stefek Kalmacki pracuje w warsztatach i chodzi na kursy spawacza. Zarabiają wcale nieźle. Nie trują sobie niczym innym głowę i dobrze jest. Chciałbym i ja tyle zarabiać. Zaraz za pierwszą wypłatę kupiłbym Baśce lakierowane szpilki, matce komplet niebieskich, lśniących garnków, bo stare to już są do niczego i powinny już dawno leżeć na śmietniku. A ojcowi kupiłbym czarne, skórzane rękawiczki, takie, jakie nosi pan Smolarczyk. Ten to ma forsy, ciągle jeździ taksówkami i je obiady w „Halce”. To dopiero frajda, dostawać co jakiś czas tyle pieniędzy. W domu inaczej by namnie patrzyli. Nie byłbym już tyłko tym, co woła lub kombinuje.

Tym razem niepisana tradycja została przełamana. Kolejny XIV tom Rocznika Łódzkiego ukazał się na początku a nie jak to było w zwyczaju na końcu roku. Tom ten jest niezwykły, bowiem w całości jest poświęcony województwu łódzkiemu. Zbieżność kilku rocznic — 25-lecie PRL, 50-lecie utworzenia województwa łódzkiego, 30-lecie wybuchu drugiej wojny światowej — skłoniła Wojewódzką Radę Narodową do zainicjowania i sfinansowania wydania tego tomu.

Zrozumiałe jest że wszystkie te czynniki określiły profil recenzowanego tomu R. L. Jest on treściwo i objętościowo najbogatszy ze wszystkich czterdziestu tomów R. L., jakie ukazały się po wojnie. Na 438 stronach druku zamieszczono 13 interesujących artykułów, 7 drobnych prac i przyczynków, 9 recenzji i sprawozdań i 6 pozycji zamieszczonych w dziale kroniki. W sumie 35 pozycji, których autorami są ludzie różnych środowisk i posiadający różne przygotowanie w zakresie pracy naukowej. Wśród autorów widzieliśmy samo dzielnych pracowników nauki, ale także i studentów Uniwersytetu Łódzkiego, obok nich nauczycieli ze szkoły wiejskiej pow. rawskiego, pracowników naukowych terenowego muzeum, pracownicy łódzkiego archiwum, działacze społeczni i pracownicy Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi. Jak z tego wynika wachlarz autorów jest bardzo szeroki. Zasluguje to na uwagę, bowiem Zarząd Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego i Redakcja Rocznika realizując zalecenia kolejnych krajowych zjazdów PTH i władz naczelnych Towarzystwa stara się o to, by łamy swojego organu udostępnić możliwie szerokim kręgom miłośników historii. Recenzowany tom dowodzi skuteczności tych starań. Spo-

ród 35 opublikowanych pozycji jedynie 14 stanowią pozycje wyszłe spod pióra autorów — pracowników naukowych UL. Resztę stanowią

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

Nowy, XIV tom Rocznika Łódzkiego

autorzy ze środowisk pozauniwersyteckich. Szczególnie cenny jest fakt, że autorami pięciu opracowań są ludzie z tak zwanego terenu (Piotrków, Wieluń, Rawa). Obfitość i różnorodność materiału zawartego w recenzowanym tomie przerastała możliwości dokonania przez recenzenta merytorycznej oceny każ-

dej z 35 pozycji. Pozostaje mu więc tylko prezentacja nie których, w jego przekonaniu ciekawszych, lub może ciekawszych dla szerokiego ogółu czytelników. Warto jednak zaznaczyć, że wszystkie prace zamieszczone w XIV t. Rocznika Łódzkiego odznaczają się dojrzałością warsztatową, a ich autorzy wykazali szczególne zaangażowanie i staranność w udokumentowanie wykładu.

Otwiera tom artykuł T. Czaplńskiego „Z dziejów konspi-

nych, którzy przeżyli okupację na terenie Łódzkiego — jest artykuł M. Cygańskiego „Powiat sieradzki w latach okupacji hitlerowskiej (1939-1945)”. Mimo, że artykuł ma charakter informacyjny i nie pretenduje do szerszych uogólnień, bogactwo zawartego w nim materiału informacyjnego pozwala wierzyć, że będzie on jednym z najpełniej czytanych artykułów tego tomu. Cygański charakteryzuje rząd niemieckiej administracji wojskowej na tym obszarze, przebieg eksterminacji ludności żydowskiej i polskiej, politykę i efekty intensywnej germanizacji tego obszaru, działalność polskiego ruchu oporu i życie gospodarcze powiatu w ramach wojennej ekonomiki hitlerowskiej.

Z artykułem Cygańskiego koresponduje artykuł T. Olejnika „Wysiedlenie ludności polskiej z powiatu wieluńskiego w okresie okupacji hitlerowskiej”. Plany wysiedlenia Polaków z tych ziem opracowane zostały jeszcze w czasie trwania kampanii wrześniowej. Dla obszarów tzw. „Kraju Warty” zasada miała być — o czym niewiele z nas wiadziło dotychczas — „germanizacja ziemi”, a nie jak na Pomorzu i Śląsku „germanizacja ludzi”.

Kontynuację problematyki okupacyjnej stanowi artykuł T. S. Jalmużny „Formy walki oświatowo-kulturalnej w woj. łódzkim w latach okupacji hitlerowskiej”. Temat ten autor słusznie rozpatruje jako „jedno z ogniw ruchu oporu w latach okupacji”. Ten artykuł podobnie jak poprzednie zawiera wiele informacji szcze-gółowych.

Jednym z tematów o których

Interesujący jest artykuł J. Górala „Działalność partii demokratycznych w okresie kształtowania się władzy ludowej w pow. Rawa Mazowiecka (do połowy 1945 r.)”. Wartość tego artykułu polega z jednej strony na podjęciu tematu pasjonującego w sposób bardzo aktualny wielu ludzi, a z drugiej strony tematu ważnego dla kształtowania się naszej wiedzy o życiu politycznym i jego mechanizmach w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu. Do zalet artykułu należy zaliczyć bogatą i rzetelną dokumentację archiwalną. Z artykułu wyłania się obraz inicjatywnej roli PPR zmierzającej do nawiązania szerokiej współpracy z demokratycznymi partiami i organizacjami na omawianym terenie. Mnóstwo faktów, nazwisk, konkretnych dat daje żywy i soczysty obraz tego okresu.

Równie interesujący jak artykuł Górala, szczególnie dla

niemal z każdym Polakiem jest Bitwa nad Bzurą. Jej przebiegowi poświęcony jest artykuł W. Kozłowski „Działania wojsk niemieckich w bitwie nad Bzurą w 1939 r.”. W artykule zostały omówione kolejne fazy bitwy nad Bzurą i okoliczności, które spowodowały, że Niemcy byli zaskoczeni pozostaniem na tyłach frontu ponad dwustutysięcznego ugrupowania sił polskich.

Latom okupacji poświęcony jest drobny przyczynek T. Bojanowskiego „Hitlerowskie obozy w pow. łowickim”. Wnosi on do naszej wiedzy o bestialstwach hitlerowskich nowe fakty i prezentuje warunki panujące w dwu obozach utworzonych w pow. łowickim w Malaszycach i Kapitulnem.

Skromne ramy tej recenzji nie pozwalają na zaprezentowanie wszystkich publikacji zawartych w recenzowanym tomie. Dlatego też zaprezentowane zostały tylko pozycje dotyczące okresu drugiej wojny światowej, okupacji i pierwszych miesięcy po wyzwoleniu. Stanowią one najważniejszą część recenzowanego tomu i sądząc, że wzbudzą najszerze zainteresowanie czytelników. Nie zaaczy to by wartość pozostałych pozycji była mniejsza. Jeśli nie zostały na tym miejscu omówione to tylko z tego powodu, że po pierwsze, nie koncentrują się one wokół jednej problematyki, po wtóre krąg osób zainteresowanych tematyką w nich podejmowaną jest mniejszy i po trzecie autor dysponował ograniczoną ilością miejsca. Należy podkreślić, że tom XIV R. L. będzie zapewne zaliczany do najciekawszych w całym dorobku Redakcji.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

„Z zapisków kronikarza” Tadeusza Papiera



Istota współczesnego życia literackiego sprowadza się w wielu przypadkach do konfrontacji literatury z rzeczywistością. Dzieło literackie, jak nigdy do tej pory, determinowane jest całym kompleksem, zespołem czynników zewnętrznych, przez co twórca jest w szczególności sposobem pod ciśnieniem społecznym i ciąży na nim wielka odpowiedzialność moralna, polityczna. Pisarz ma ułatwiony dostęp do różnych kręgów społecznych, dzięki czemu zakres jego doświadczeń poszerza się znaczenie, ale i tym samym wywierany bywa z zewnątrz większy nacisk na pogłębianie motywacji psychologicznych. Na tym tle

wynikają często rozbieżności; wymagania czytelników nie zawsze idą w parze z zamierzeniami i ambicjami pisarza. Owa rozbieżność ujawniana bywa najczęściej nie na łamach czasopism literackich, a podczas bezpośrednich kontaktów pisarzy z czytelnikami na spotkaniach autorskich. Problem zbliżenia literatury do życia bywa przez krytykę różnorodnie rozumiany. Niektórzy sądzą (np. A. Sandauer), że już sama forma utworu jest wyrazem danej epoki, w której dzieło powstało. Inni skłonni są uważać, że realizm powinien sprowadzać się w pierwszym rzędzie do zagadnień treści, bezpośredniego za-

angażowania politycznego i społecznego autora. Opinia czytelników zdaje się być tu pośrodku.

Pomimo gruntownych przemian społecznych, jakie zaszły w Polsce w ciągu ostatniego dwudziestopięcioletcia, przemian ważniejszych w sferze życia urbanizacji wsi, istnieją w dalszym ciągu zasadnicze różnice w profilu kulturalnym między prowincją a miejskimi metropoliami. Tym samym istnieją różnice w upodobaniach i potrzebach czytelników. Sprawom kulturalnym, w szczególności egzystowania literatury „gdzieś tam w Polsce B” poświęcił cykl swoich szkiców i reportaży Tadeusz Pa-

pięć w książce „Z zapisków kronikarza”. Już sam tytuł wskazuje, że książka ta powstała jak gdyby na marginesie oryginalnej twórczości literackiej autora „Powtórnej śmierci Boryny”, że stanowi pewnego rodzaju pamiętnik z kontaktów z ludźmi wsi, małych miasteczek, łódzkich zakładów pracy. Stąd zbiór ten, choć nie możemy rozpatrywać z punktu widzenia wyłącznie literackiego, a raczej od strony zagadnień bieżącej polityki kulturalnej.

Na skrzydełku obwołanej wydawniczo „Zapisków” informacja, że Papier w książce tej „zajmuje się w głównej mierze czytelnikami, których można by określić jako czytelników z awansu”, a więc chłopami, młodzieżą robotniczą i wiejską, ludźmi z fabryk — przy czym książka nie stanowi w jego rozumieniu jedynego elementu, od którego zależą przemiany zachodzące w świadomości człowieka. Książka, zdaniem Papiera, jest tylko „jednym z instrumentów polityki kulturalnej państwa ludowego”. Autor wyjeżdża w teren nie z określonym, wąsko zakrojonym celem poznawczym. Każde środowisko odsłania swoje uroki, objawia się jako coś dotąd nie spotyka-

nego, każda rozmowa stanowi pewnego rodzaju ewenement. Ciągłe pojawiają się nowe niepokoje, wątpliwości, wahania i nadzieje. To zwykłe szare życie okazuje się w gruncie rzeczy barwną mozaiką, przetrastającą bogactwem swych barw i odcieni literaturę i stąd ciągle czeka na nowych kronikarzy. Papier zna nietypowe biografie swoich rozmówców i co ważniejsze, w tej na pozór zuniformizowanej rzeczywistości jest nie zliczona ilość jednostek ludzkich, profesjonalnie nie związanych z dziedziną twórczości artystycznej, które mimo to pretendują do miana indywidualności, osobowości na swój sposób twórczych. Będzie więc to nauczycielka ze wsi Kocina, rolnik z Konopnicy, niektórzy wieszcy bibliotekarze, rencista z Zakładów Im. Harnama, czy też odwołana ze wspomnień najbliższej rodziny i znajomych postać autora scenariusza „Wesele Boryny”, nauczycielka — bohaterka z Lipiec Reymontowskich, Tadeusza Kwaśniewskiego. Autor przede wszystkim wychwytuje pozytywne strony współczesnego życia kulturalnego. Innych spraw, nurtujących czytelnika, nie porusza względnie może ich nie dostrzega. Bo

haterowie, jacy przewijają się na kartach tej książki, nie są mimowolnie wybrani przez Papiera. Są to jednostki działające z pełnym poświęceniem, z niezwykłą energią życiową.

Psychologizm nie był zamierzony i nie idzie w parze z tą książką z socjologicznym ujęciem zagadnień polityki kulturalnej. Przemiany gospodarcze, społeczne i polityczne są mocno eksponowane, wybijają się na plan pierwszy. Autor nie starał się wnikać, jakie konsekwencje moralne, jakie przemiany w psychice tych bohaterów zachodzą, przynoszą owe metamorfozy społeczeństwa polskiego. Pisarz z prawdziwymi ambicjami psychologicznymi ustąpił miejsca kronikarzowi, który zapisuje fakty. Z racji obranej konwencji nie jest to najlepsza książka Papiera, powieściopisarza. Okazuje się ona niewątpliwie ważną wskazówką dydaktyczno-wychowawczą dla „Judymów i Silacek”, dla tych, którzy nie wiedzą, w jaki sposób spełnić swoje ambicje społeczne i kulturalne.

Tadeusz Papier, „Z zapisków kronikarza”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1969, s. 200.

★ ★ ★

Baśka cały wieczór beczy w kącie, bo ojciec przyłapał ją, że chodzi po kawiarniach, a nie pracuje. Wyzwał ją od wyrzusa, łajdaczki i różnie tak. Baśka krzyczała, że jak ojciec łączy z takimi różnymi zdziurami, to dobrze. Ojciec się wściekł i gonił Baśkę po całym mieszkaniu, ale nie mógł jej złapać, bo ma astmę i zadyszka go wzięła. Potem usiadł przy stole i zapalił papierosa. W tym zderzeniu wianu nie zauważył, że ma pół paczki, a nie całą.

★ ★ ★

Przybiegł do mnie Władek i po wiedział, że złapał Wojtka i Zbyszka. Jak to dobrze, że nie byłam tam z nimi. Władek ma trochę pietra, bo też miał z tego swój udział. Ma jechać do Skierniewic, tam są jego kumple, którzy zadekują go na jakiś czas.

★ ★ ★

Ale mam pecha. Do domu przyszedł nauczyciel, który uczył mnie w tej szkole. Usiadł na krześle o-

bok matki, która miała tak słodką minę, że aż mi głupio było. Matka powiedziała: — Chodź no tu bliżej Krzysiu — a o niego: — To tak ciężko mieć dorastającego chłopca w domu. Jest taki trudny. Ale się wysiliła. Sam nie wiem, co bym wolał, ale dał bym wszystko, aby on sobie poszedł i aby matka krzyczała znowu tak jak dawniej. Bo taki spokój nie wróży nic dobrego. Wybrała mnie Baśka. Wpadła i powiedziała, że wszystkie nasze bielizna ze strychu zniknęła. Matka pobladła. Ale draka. Nauczyciel powiedział jeszcze, że dobrze by było, aby poszła ze mną do kierownika, bo jak będę dalej opuszczać szkołę, to rodzice zapłacą karę. Radzi też posłać mnie do poradni specjalistycznej. Też się udał, co to ja wariat? Ale nie wiem, czy matka dużo z tego wysłuchała. Cały czas ścisłała ręce i myślała pewno o tej bie liźnie. Przytakiwała i mówiła, że tak, że oczywiście, że jeszcze jutro, ale teraz, widzi pan, takie życie i człowiek nigdy nie jest pewien swego. Bielizna wcale nie zniknęła. Wisiała tak jak ją powieszono.

★ ★ ★

Lucek przyrzekł mi, że porozmawia ze swoim ojcem, który jest majstrem w elektromontażu, o robocie dla mnie. Kto wie, czy już niedługo nie zacznę pracy. Jutro pójdę do szkoły, dla świętego spokoju. Ostatecznie te kilka godzin można wytrzymać.

★ ★ ★

Już na korytarzu słyszałem krzyki. Na stole talerz, a na ceracie rozlana grochówka. Ojciec czerwony, matka zapłakana. Ojciec wykrzykiwał, że ma tego wszystkiego dosyć. Mało, że żona wariatka, a córka kręci zadkiem jak stara koka i można się domyślać skąd pieniądze a syn tylko patrzeć, jak zostanie bandytą. Tego wszystkiego już za dużo i on nie chce czekać końca, bo wiadomo co będzie i póki czas woli wynieść się, aby sam przy tym nie zwirował. Matka szarpnęła drzwiami i powiedziała, że może się wynieść w każdej chwili do tej swojej mały. Ojciec trzepnął matkę w plecy i zatrzasnął drzwi, wykrzykując, że owszem, odejdziesz, ale jak zabierze to z jego.

Batem się cokolwiek odezwać. Kto wie, czy by się to na mnie nie skrupiło. A niech ich... Pójdę do Lucka, może już coś wie o tej pracy dla mnie.

★ ★ ★

Lucka nie było w domu, a ojciec jego był bardzo zdziwiony, gdy zapytał o to, ponieważ o niczym nie wiedział. Lucek widocznie nie w domu o mnie nie mówił. To kretyn. Wdawało mi się, że jemu można wierzyć.

★ ★ ★

Spotkałem się z Władkiem. Nikt mi nie wydał i upiekło mu się. Szykuje teraz nowy skok. Mówił mi, że z tamtymi nie ma co, to pętki. Było co, a zaraz robią w majty i wolają do mamy. Całe szczęście, że się za dużo z nimi nie uścielał, inaczej szarowałby ki ble w poprawczaku. Kazał mi przyjść do budek za torami, pozna mnie z fajnym facetem, który robi majątek na włamaniach, gliniarze do tej pory go nie nakryli. Mają też narzędzia. Lom, dłuto, lewarek i takie tam inne rzeczy, aby robota szła na fest. Władek bardzo chwalił tego faceta. — Teraz to brachu szkoda gadać. Z

takim fachowcem to i do piekła, kapujesz co i jak. Teraz to gwizdać z nimi można w ciemno. Po wiedział jeszcze, że jakbym próbował się gdzie chwalić, to tak mnie prześlancują że pies z najdłuższym pyskiem nie odnajdzie moich kończyn. Też coś. Ja nie taki. Jak jest pewność, to można ryzykować. Kto wie, a może obłowimy się? Przecież nieraz widziałem na filmach jak to fachowo było robione. Trochę strachu, a potem liczenie pieniędzy. Kto wie, może bym dał starym coś z tego? Może by się pogodzili? Pieniądże robią wszystko. Przyrzekłem Władekowi, że podskoczę do chaty po trochę niezbędnych rzeczy i pieniądze, które składałem dla matki, ojca i Baśki na gwiazdkę. Teraz też się przydadzą. Na pewno nie będą mnie w domu o nic pytać. Po takich klótniach jak ta niedawna, wszyscy patrzyli na siebie ze zem i można było robić co się chciało. Jedno uodwadniało drugiemu, że go już nie w gruncie rzeczy nie obchodził. Chciałbym tylko przy wyjściem z domu szepnąć Baśce, aby wytłumaczyła obydwojgu co i jak. Ostatecznie to moi rodzice, no nie?

TERESA MILIŃSKA

TERESA WOJCIECHOWSKA

Krasnoludki w Teatrze Wielkim

Całkiem nieoczekiwanie spadł na mnie obowiązek zabrania głosu w sprawie bajki. Nieczęsto mi się to zdarza i w związku z tym, czuję się mniej więcej tak jak średniak z minionego okresu. Nie dlatego, że bym bajki lubiła średnio, choć i to jest prawdą, ale mam na myśli owe przysłowiowe dwie dusze średniaka. Jedną z nich buntuje się przeciw rządzącemu losu, które każą mi oglądać na scenie Teatru Wielkiego przygody królowej Śnieżki i siedmiu krasnoludków*), drugą zaś została niemal całkowicie przekonana o celowości tego ewenementu. Ta druga rozumie bowiem, co mi wytłumaczono, że wychowanie widza operowego trzeba zaczynać od najmłodszych lat, a jeśli od najmłodszych, to rzeczywiście najlepiej od bajki. I że jeśli się prowadzi szkołę baletową dla dzieci, to i im trzeba dać szansę oswojenia się ze sceną, z prawdziwą widownią, z prawdziwą publicznością.

Niezależnie zaś od moich wewnętrznych rozterek, przedstawienie „Królowej Śnieżki” stało się na scenie Teatru Wielkiego faktem, który trzeba przyjąć do wiadomości. I choćby z przyzywania potraktować na serio. Tak chyba potraktowało je również kierownictwo teatru. Świadczy o tym fakt, że te baletowe bajki obsadzono czołowymi siłami tanecznymi teatru, że w partii tytułowej oglądamy Iwonę Wakowską, Eugeniusza Kowalewicza, Eugeniusza Jaku biaka, Włodzimierza Traczewskiego, Janinę Niesobską i innych. Co nie zmienia wcale faktu, że nie tylko widownia, ale i wszyscy wykonawcy z łódką młodzieżą baletową,

debiutującą w tym przedstawieniu włączając, bawią się szczerze i doskonale.

A w ogóle, wystawianie przed stawień dla dzieci, to sprawa całkiem poważna i wcale nie taką łatwą jak by się mogło wydawać. Bo rzecz musi być i pedagogiczna i rozrywkowa, musi uczyć, ale nie straszyć, bawić, ale nie oglupiać. Myślę, że realizatorzy tej dziecinniej prapremiery mieli sporo kłopotów i rozterek, że nie bardzo byli pewni w jaki sposób tym wszystkim zadaniom sprostać. Stąd zapewne niejaką brak konsekwentnej koncepcji scenicznej, pewna niejednolitość stylistyczna. Pierwszy akt jest typowym baletem, drugi przekształca się zniechęca w pantomimę, a trzeci stanowi już zgodną koegzystencję obydwu konwencji. Ten brak konsekwentnej koncepcji odbił się również na scenografii, która raz jest baśniowa, a kiedy indziej (np. sala balowa w ostatniej odsłonie) całkowicie rodem z Teatru Wielkiego. Kostiumy w miarę kolorowe, w miarę zabawne, pomysłowe i przyjemne dla oka. Osobiście wolałabym, aby w przedstawieniu dla dzieci, niektóre były mniej anatomiczne, bo to odwraca uwagę najmłodszych od pouczających dzieł Śnieżki.

Po pierwszym akcie miałam trochę obaw, że dzieci będą przestraszone, ale po pierwszej naszej dzieci niełatwo jest nastrozić, a po drugie w następnych aktach atmosfera znacznie się rozpuściła. Jak na mój gust trochę było za dużo dymu przy czarach królowej, ale znowu: po pierwsze mój gust tu się nie liczy, a po drugie poinformowano mnie, że w jednym z teatrów

dramatycznych, na znacznie mniejszej sali, i to dla dorosłych, robi się o wiele więcej dymu, więc nie ma się o co spierać.

Sądząc z reakcji najmłodszej części widowni, a dla niej w końcu rzecz jest przeznaczona, nie miała ona żadnych wątpliwości tego typu. Dzieci odbierają przedstawienie całkiem inaczej niż my i to nie tylko z powodu różnicy wieku. My, poza tą różnicą, obciążeni jeszcze jesteśmy wspomnieniem „Królowej Śnieżki” Walta Disneya — filmu, który w swoim czasie oglądali wszyscy — dorośli i dzieci. To rzutuje w pierwszym rzędzie na odbiór muzyki. Niezwykle popularne melodie disneyowskiej „Śnieżki” zrosły się nam nierozdzielnie z tą bajką, z postaciami krasnoludków, dlatego muzyka w tym przedstawieniu brzmi początkowo jako obco. To uczucie zresztą szybko mija. A jaka jest ta łódka muzyka? Jest prosta, łatwa, ilustracyjna i taka chyba powinna być. Na pewno nie sięga — i nie musi — wyżyn światowej symfoniki, tu i ówdzie pobrzmiwają w niej znane skądinąd frazy, ale taki

zarzut można by postawić wielu bardziej znanym i renomowanym dziełom muzycznym. Sądząc, że orkiestra, traktując rzecz równie poważnie jak inni wykonawcy, dopracuje niektóre niezbyt czysto podczas premiery wykonane fragmenty.

A w ogóle, to kiedy po skończeniu przedstawienia pewna moja dziesięcioletnia znajoma kategorycznie odmówiła opuszczenia teatru i wyszła dopiero uzyskawszy obietnicę, że przyjdzie tu jeszcze raz, zrozumiałam, że wszyscy co napiszę nie będzie miało żadnego znaczenia, bo zamierzony efekt został osiągnięty. Więc zwalczwszy o pozycyjną duszę średniaka, żyć przedstawieniu powódźnia, dzieciom dobrej zabawy, a teatrowi efektów w wychowaniu młodej widowni.

*) „Królowa Śnieżka i siedmiu Krasnoludków”. Balet w 3 aktach. Muzyka: Bogdan Pawłowski; libretto według bajki Grimma; Witold Borkowski i Stanisław Piotrowski; kierownictwo muzyczne: Mieczysław Wojciechowski; inscenizacja, reżyseria, choreografia: Witold Borkowski; dekoracje: Halina Korytowska; kostiumy: Barbara Jarowska. Teatr Wielki, premiera 14. III. 1970.



OBIEKTYW

Słodkie rodzyнки i gorzkie migdały

Już tylko pół roku dzieli nas od uruchomienia II programu Polskiej Telewizji. Parokrotnie dawaliśmy na tych łamach wyraz przekonaniu, że to będzie wydarzenie wielkiej wagi. Przelomowe — można by rzec.

Data 1 października nie będzie jednak stanowila przełomu dla wszystkich widzów w Polsce (zarejestrowanych telewizorów mamy dziś około 4 milionów, licząc szacunkowo po 3 osoby na odbiornik, otrzymujemy 12 milionów, przeszło trzecią część narodu). Na razie II program obejmie zasięgiem cztery wiekie miasta — Warszawę, Łódź, Katowice i Kraków oraz większą część województwa warszawskiego. Władze telewizji zakładają, że w ten sposób w chwili uruchomienia II programu będzie go oglądało mniej więcej 25 procent widzów w kraju, a około 40 procent widzów zamieszkujących miasta.

Dyrektor programowy TVP red. Włodzimierz Łoziński (znany go z małego ekranu jako komentatora politycznego), udzielając na ten temat wywiadu tygodnikowi „Ekran”, stwierdził, że wobec wymienionych wyżej danych obiektywnych II program adresowany będzie przede wszystkim do widza miejskiego. Inną cechą tego programu będzie przewaga pozycji popularnych i edukacyjnych. Znajdą tam miejsce kursy języków obcych (zaczęte swego czasu przez Telewizję, ale zarzucone), programy z zakresu historii różnych gałęzi sztuki, geografii, pedagogiki itp.

II program obejmować będzie także widowiska artystyczne. Uwzględniając jednak wielkomiejski charakter widowni, Telewizja lokować tu będzie programy trudniejsze, różne poszukiwania formalne i eksperymenty. Wiemy dobrze, że nie wszyscy widzowie trawiają nowoczesną sztukę. Tradycjonalistów nikt nie będzie więc zmuszał do przelamywania niechęci. Obok widowisk eksperymentalnych będą przecież biegle równoległe na innym kanale programy popularne.

Również dzieci nie będą obsługiwane przez II program. Od najmłodszych widzów nie można, oczywiście, wymagać dokonywania wyboru. Trzeba im zapewnić jeden program, możliwie najlepszy.

Tyle w skrótych ujęciu dowiedzieliśmy się z wywiadu dyr. Łozińskiego. Była tam jeszcze mowa o korelacji, czy koordynacji obu programów. I tu stwierdził trzeba, że nie zawsze da się oszczędzić widzowi wahań, na który program ma się w danej chwili zdecydować. Niejeden Hamlet, z gazetą w ręku, będzie się łamał, na który kanał przestawiać się z kanału na kanał w trakcie trwania programu. Postulujemy i popatrzymy, co też przynosi I program, potem na chwilę przetrzucimy się na II program, by przekonać się, na którym z kanałów „leci” w danym momencie coś co nas bardziej interesuje.

Ale nie zawsze da się uniknąć straty czegoś interesującego. Wyobraźmy sobie: tu emocjonujący mecz, tam widowisko teatralne z Holoubkiem. Albo: tu kolejna lekcja angielskiego, której nie chcemy stracić, tam bombowy program rozrywkowy z Fedorowiczem. I wybieraj tu!

Specjalnie dobrałem takie przykłady, które pomogą nam uzmysłowić sobie, że przędziemy na wyższy etap oglądania telewizji. Dotąd mamy każdorazowo wyłącznie alternatywę: oglądać program, lub wyłączyć. Od 1 października stanieni wobec potrójnej możliwości: wyłączyć, pozostawić się na drugi program, który zaczęliśmy oglądać, lub przetrzucić się na drugi program.

II program nie wyeliminuje takich sytuacji, w których nie znajdziemy dla siebie nie interesującego. Trudno wyobrazić sobie możliwość, by z ekranu telewizora spływały na nas same arcydzieła. Dlaczego? Na to pytanie odpowiem zacytowaniem innego retorycznego pytania autorstwa Agnieszki Osieckiej:

„Czemu na świecie, który tak wspaniały,
Słodkie rodzyńki i gorzkie migdały?”

(Z PROGRAMU „GUSLA 70”)

Właśnie! Czemu?

Władysław Ononim

EWA NURCZYŃSKA

„KONFRONTACJE 69”

„Konfrontacje 69”, zgodnie z wieloletnią tradycją, prezentowały filmy nagrodzone w minionym roku na różnych festiwalach i imprezach filmowych, a także te, które nie doczekawszy się nagród, były jednakże pozycjami, o których się wiele mówiło.

Niemal każdy z przedstawionych filmów zasługiwałby na osobne omówienie, zebranie pełnych wrażeń z owych czterech nastu wieczorów filmowych w jednym sprawozdaniu jest oczywiście niemożliwością. Wrażenia te określone być zatem muszą koniecznością wyboru, jego kryteria narzuciły zaś same filmy swą pewną konsekwencją. Ta nie zaprogramowana przecież konsekwencja, jest podstawową sprawą, na którą reagować musieli zapewne wszyscy widzowie „Konfrontacji 69”. Towarzysząca jej refleksja nie należy dziś do najradośniejszych. Jej nutą podstawową jest pytanie: czy kino jest „chore”, czy „chora” jest rzeczywistość, która stała się przedmiotem penetracji współczesnego kina? Świadomość przemijalności wielu nawet bardzo ciężkich chorób, czyni troskę o kino łagodniejszą. Powszechność pewnych zmian oglądanych filmów, charakterystycznych ze względu na krąg społeczno-kulturowy, towarzyszący ich powstaniu, sygnalizuje sprawy, które niepo-

koją grozą postawionych diagnoz z jednej strony, z drugiej — kierunkiem poszukiwań.

W ciągu wielu wieczorów oglądaliśmy na ekranie pochod bohaterów, prezentujących najróżniejsze odmiany psychopatii, sadyzmu, zbroczeń seksualnych, etc., oglądaliśmy sceny mordów i gwałtów. Do zły okrucieństwa, erotyzmu, grozy i strachu — były olbrzymie. Czerwień krwi była dominantą kolorystyczną wielu obrazów. Ranga artystyczna tych filmów nie pozwalała w zasadzie czynić z tych spraw zarzutu, ich problematyka niejako je warunkowała i usprawiedliwiała. W efekcie jednak ów wybór tematów przyniósł w większości filmów przerażający obraz świata, w którym ludzmi kieruje żądza władzy, mord, okrucieństwa, a ich instynktami rządzi seks. Jest to świat, w którym nie ma miękkiego dla odczucia i uczuć, dla których człowiek wymyślił tak piękne słowa jak mądrość, dobroć i miłość. Wydaje się, iż filmy te są a rebours wolaniem o te uczucia, są też wołaniem o chwilę refleksji.

Przy tak wielkiej różnorodności tematycznej i stylistycznej prezentowanych filmów sprowadzenie ich do jakiejś konsekwentnej jedności byłoby oczywiście absurdem, te pewne prawidłowości, o których była mowa wyżej, są jednakże pewnym ich rysem znamionym.

Sądząc, iż nie będę odosobniona we wrażeniu, że w tych przypadkach, w których twórcy odchodzili od prób klinicznych studiów psychopatycznych i szukali prawd o człowieku i jego czasach w szerokim tle i wśród uwarunkowań społeczno-politycznych, tam sprawy ludzkie uzyskiwały wymiar znacznie głębszy. Nawet okrucieństwo, sadyzm i erotyzm znajdowały swe uzasadnienie. Stąd, mimo uznania znakomitości filmu Mimicy „Zdarzenie”, nasza nieufność wobec niego. Stąd, niejmy odwagę to powiedzieć, wielkie rozczarowanie „Pieknością dnia” Bunuela, czy nie o mniejsze „Łagodną” Bressona. Mówienie o znakomitości reżyserii tych dwu mistrzów światowego kina byłoby co najmniej śmieszne, podobnie jak stwierdzenie, że oba filmy legitymują się znakami im tylko przynależnej poetyki. I tak pozostaje pytanie — no i co z tego? Nam, którzy wielbimy Bunuela przyjąć może w sukurs myśl, że mistrz zakpił sobie właśnie trochę z bałwochwalczości, a trochę ze współczesnego kina w ogóle i rzekłszy sobie: „Chcecie

to macie!” — zrealizował „Piekność dnia”.

Dwa niewątpliwie egzotyczne dla nas filmy, brazylijski „Antonio das Mortes” G. Rocha i kubańska „Lucia” H. So las (pierwsza nowela) musiały porwać widzów niezwykłą siłą obrazowania tragedii ludzkich namiętności, powiązanych ściśle z dramatami politycznymi i społecznymi. Obraz świata wypełnionego namiętnościami, cierpieniem, okrucieństwem i walką, w pierwszym filmie znajduje uzasadnienie w tonie romantycznego tematu ludowego, w drugim inspiracją stało się malarstwo Goi i tradycje impresjonizmu i ekspresjonizmu.

Przywilejem sprawozdawcy jest wysunięcie własnych typów. Korzystając z niego pozwolę sobie uznać za najwybitniejsze filmy „Konfrontacji 69” „Zmierzyć bogów” Viscontiego, „Wolnego, wolnego” H. Wexlera i „Adalen 31” B. Widerberga.

Film Viscontiego nie sposób widzieć w oderwaniu od całości jego twórczości. Jest następnym fragmentem wielkiego fresku o zmierzchu bogów. Jego poprzednie fragmenty nosiły tytuły: „Lampart” i „Błędne gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy”. Jego podstawowe motywy takie, jak rozpad rodów (klasy) i ich degeneracja, w poprzednich filmach znajdowały swe główne tło w obrazie przemian społecznych, w „Zmierzeniu bogów” historia określiła to polityczne. Przedmiotem analizy

nie stał się w tym filmie fałszywym, rozpatrywany jako system zbrodni w kategoriach historycznych, czy politycznych, lecz środowisko ludzkie, w którym hitleryzm wyzwoilił wszystkie nagromadzone żądze i instynkty. Film przynosi wstrząsający, apokaliptyczny obraz świata ludzi, dla których faszyzm stał się wielką szansą realizacji ambicji, które szły w parze z patologią i zbrodnią.

Jedynym wybitnym filmem, który w tegorocznym zestawie legitymował się autentycznym, szerokim tematem polityczno-społecznym problemów współczesnego świata, był amerykański film „Wolnego, wolnego”. Ta opowieść o Chicago roku 1968 przyniosła na wprost dokumentalny obraz współczesnej Ameryki i jej najbardziej problematycznych i politycznych. Drapeżna, bezkompromisowa relacja, bliska metodzie dokumentalnej obserwacji świata, została w tym filmie w mistrzowski sposób splecioną z wątkiem fabularnym, który uzupełnia ten obraz elementami moralnych problemów ludzkich jednostek, zdeternowanych prawami rządzącymi w ich społeczeństwie. Obraz dehumanizacji zachodniego świata w filmie Taitego mógł jeszcze chwilami bawić, w filmie Wexlera chwytają za gardło.

„Adalen 31” Widerberga jest filmem w dziejach kina dość niezwykłym, odnawiającym nie jako gatunek, który zrodzony

w Związku Radzieckim i kontynuowany w kinematografii krajów socjalistycznych popadł od lat w schematyzm. Film jest opowieścią o strajku robotników szwedzkich, a więc filmem w kinematografii zachodniej niezwykłym. Widerberg znalazł dla tematu klucz zupełnie nowy. Nie interesuje go strajk jako czyn sam w sobie, jako podstawowe doświadczenie życiowe bohaterów. Interesują go sami ludzie, ich życie, codzienność, poszukiwanie szczęścia — strajk był dla nich jedną z dróg do owej skromnej, lecz szczęśliwej egzystencji. Temat znalazł swe bardzo ludzkie, dalekie od schematycznych uproszczeń, uzasadnienia. Film urzeka prostotą i pięknem, szlachetnością tonu i głębokim humanizmem, wiarą w siłę człowieka mierzącego się ze swym życiem. Sądzić należy, że tym właśnie tonem „Adalen 31” jest bliski tylko jednemu filmowi ostatniej „Konfrontacji” — polskiej „Strukturze kryształu”.

Ta spisana na gorąco garść wrażeń z „Konfrontacji 69” nie sposób nie uzupełnić jeszcze jedną refleksją. Ambitne kino współczesne, często kontrowersyjne i szokujące jest sztuką imponującą mistrzostwem realizacją, różnorodnością poszukiwań i rozwiązań formalnych, urzekającą pięknem plastycznym, wreszcie, w większości przypadków, doskonałością techniczną, która te sztukę tak bardzo warunkuje.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NOWY BLASK „CASINO DE PARIS”

„Casino de Paris”, głów na atrakcja nocnego życia Paryża, w odległej epoce naszych dziadków i babek cieszyło się wielkim powodzeniem. Tu w tzw. Belle Epoque występowały słynne gwiazdy estrady jak Mistinguett, tu zdobywał sławę Maurice Chevalier, tu świecła triumfy Józefina Baker. Ostatnio, po śmierci wieloletniego dyrektora Henri Varna, kierownictwo przejął Roland

tysięcy kilogramów piór egzotycznych ptaków, zakupiono stroje w jednym z najdroższych domów mody Yves Saint-Laurenta, zaangażowano 85 tancerów i tancerzy. Dekoracje wykonali tacy znani artyści jak Victor Vasarely, który zrobił kurtynę, rzeźbiarz Cesar i Raphael Soto. Ci trzej plastycy nie wzięli zresztą za swe prace ani jednego franka.

Gwiazdą rewii, odzianą w pióra, wśród tancerzy i niemal całkiem nagich tancererek, jest tańcząca i śpie

Victor Vasarely jest w grem od 1930 roku mieszkającym w Paryżu. Urodził się w 1908 roku w Peczu na Węgrzech. W początkach swej twórczości, jeszcze w Budapeszcie pozostał pod dominującymi wpływami Moholy-Nagy'ego, Malewicza, Mondriana, Gropiusa, Kandynskiego i hasła funkcjonalizmu sztuki głoszonego z takim zapałem przez artystów i architektów zgrupowanych wokół Gropiusa i jego Bauhausu.

W roku 1930, Vasarely, przybywa do Paryża, gdzie pracuje w dziedzinie grafiki reklamowej. W roku 1944 wystawia po raz pierwszy i wystawa przynosi mu sukces. W latach następnych pasjonuje go abstrakcja geometryczna, wreszcie staje się zwolennikiem op-artu. Jak wiadomo, artyści tego kierunku postępują specyficzną metodą twórczą dążąc do tego, by ich dzieła wywoływały u widza złudzenia optyczne. Vasarely tworzy obrazy op-artowskie, w których elementy nabierają pozornego ruchu. Gdy patrzy się na takie dzieła ma się wrażenie wirowania płam, kładratów czy kół. Ten sposób malowania zbliża artystę do sztuki kinetycznej.

Najbardziej interesuje Vasarely'ego collage, układanka z prostych form geometrycznych, jak kółka i kwadraty o różnych barwach czy też o jednej barwie, lecz o różnym nałożeniu. Ostatnio wybrał dwanaście prostych form geometrycznych i dwanaście barw. Mózg elektrony w Los Angeles ma wykonać wszystkie możliwe warianty tych elementów. Gdyby miał tego dokonać człowiek musiałby 10.000 osób wykonywać to przez całe swoje życie.

Dwa kilometry od swej posiadłości w Vaucluse, Vasarely tworzy fundację „Centrale poszukiwań plastycznych”. Mają się tu zbierać artyści, architekci, urbanisci, socjologowie,

psychologowie by dyskutować i przedstawiać swe osiągnięcia, rozmawiać o sztuce i jej użyteczności i jej funkcjonalności w ży



ci współczesnego człowieka.

Sztuka Vasarely'ego, jak sam twierdzi, może mieć zastosowanie nie tylko przy dekoracji miast, ale i w tkactwie, ceramice, dekoracjach teatralnych, rozmaitych gałęziach przemysłu.

LUIGI PIRANDELLO

W roku 1887 w całej południowej Italii panowała groźna zaraza — cholera. Na Sycylii w starożytnym mieście Agrigento, właściciel kopalni siarki Don Stefano zapadł na tę groźną chorobę. Ktoś poradził mu okrutne, ale podobno skuteczne remedium. Zwiózł się z żoną i udał na wieś do swej posiadłości, gdzie jego żona Donna Caterina oczekiwała dziecka. Gdy wynędziali chorobą i kuracją pojawił się żonie ta zemsta i w kilka godzin później urodziła przedwcześnie syna. Tak to przyszedł na świat znakomity włoski pisarz, nowelista, powieściopisarz i dramaturg, laureat literackiej nagrody Nobla, Luigi Pirandello (1887—1936). Przyszły słynny dramaturg zdobywał wykształcenie uniwersyteckie w Palermo, Rzymie, a następnie w Bonn w Niemczech. W roku 1894 Pirandello żenił się z Antonietta i ino ra para zamieszkuje w Rzymie. Żyją z pieniędzy otrzymywanych od ojca

Pirandella. Luigi próbuje swych sił na polu literackim, pisze opowiadania i powieści, ale jeszcze nie drukuje. Nie ma mającego szczęścia tej pary. Po kilku latach mają troje dzieci. Pewnego dnia Luigi wróciwszy do domu zastał je zemdloną żoną, trzymającą w ręku list. Wiadomość jest przerażająca. Ojciec Pirandella w krachu ekonomicznym stracił cały majątek, a w tym również powierzony mu posag Antonietty. Luigi, jego żona i trójka dzieci są bez środków do życia. Pirandello przyjmuje więc posadę nauczyciela. Antonietta, która od czasu fatalnej wiadomości o stracie majątku przejawiała brak równowagi psychicznej, zamięcza teraz swego męża podejrzeniami o zdradę. Przerodził się to wkrótce w chorobliwą manię i wreszcie w obłąd. Tymczasem Luigi, mimo okropnych stosunków domowych, obok zajęć szkolnych pracuje literacko. Po czątkowo drukuje w czasopiśmie, potem wydaje

zbiory poezji, wreszcie próbuje twórczości scenicznej. Sztuka „Sześć postaci scenicznyc w poszukiwaniu autora” wywołuje we Włoszech skandal, ale osiąga sukces we Francji. Wkrótce zdobywa sławę i za arcydzieła uchodzą dalsze sztuki Pirandella jak „Każdy na swój sposób”, „Dziś wieczór improwizujemy” czy „Henryk IV”. Zasłynął również jako nowelista. W twórczości Pirandella znalazły swe odbicie ostre konflikty polityczne i społeczne Italii, specyficzna obyczajowość sycylijska, ciężkie osobiste przeżycia autora. Bohaterowie jego sztuk noszą ślady wewnętrznego rozdarcia i ciężkich losów jakie nieobce były i samemu dramaturgowi.

Twórczość Pirandella i dziś cieszy się powodzeniem czego dowodem jest zainteresowanie sztuką tego autora „Życie które ci dałam”, którą wystawia obecnie w Paryżu Theatre des Mathurins z wybitną aktorką Alice Sapritch w roli głównej.

Bez strachu

Pożegnanie z Czytelnikiem

Ja: Cieszę się, że Pana widzę, a raczej smucę się, że Pana widzę. Wiem, jest Pan czytelnikiem moich felietonów. Odtąd to mój ostatni felieton w „Odgłosach”. Zwalniam już rubrykę. Felietony ukażą się w książce pt. „Bez strachu” — będzie mógł Pan przeczytać książkę.

Czytelnik: Dlaczego Pan zwalnia rubrykę, dlaczego przestaje Pan pisać felietony?

Ja: Tego nie twierdzę, będę pisał gdzie indziej, będę pisał felietony — nad brzegiem morza, pod zimnym i płomiennym niebem, w krzyku mew, w huczącym zawadzeniu boi. Pan wydaje się być zainteresowany moimi felietonami. Dlaczego?

Czytelnik: Nauczyłem się z nich tego czegoś owego.

Ja: Pan przecież wie o wiele więcej niż ja...

Czytelnik: Wiem więcej niż Pan, ale ja swojej wiedzy nigdy nie spisałem. Za jej ważnymi sprawami nie miałem na to czasu. Pan poruszył moją wyobraźnię.

Ja: Przecież Pana wyobraźnia jest żywsza, bujniejsza od mojej.

Czytelnik: Tak, ale ona dotyczyła pewnego szczerzego zakreśu, Pana wyobraźnia pracuje w innych polach niż moja. Aby być czytelnym, nie trzeba być mądrzejszym od czytelnika, trzeba być od niego pod wieloma względami różnym.

Ja: A mnie się wydawało, że jestem do Pana podobny. Cóż, to mniemanie podsuwała mi próżność.

Czytelnik: Dlaczego, u diabła, osieroca Pan tę rubrykę?

Ja: Pan jest życzliwym czytelnikiem. Zapewniał Pana, że jest wielu takich, którzy powiedzą: nareszcie skończył te dziwaczne lamnacje. Nie wiadomo było, o co mu w ogóle chodziło. A może o nie mu nie chodziło — chciał pisać, chciał zrobić maleńką karierę. Bóg z nim, dobrze, że już go nie ma. Tak po wie wielu.

Czytelnik: Czy Pan wie?

Ja: Wyjeżdżałem każdej nocy — tylko dnie spędzałem w Łodzi — noc nad brzegiem zielonego i białego morza. W ciepłe letnie noce szukałem bursztynu. W zimne, białe noce, karmiłem krzyżące ptaki, ptaki, które nie znają snu ani sytości. Mówiłem: to moje morze, ja tu jestem najprawdziwiej, najpełniej. Teraz przyjechałem — jestem tu bez reszty, przez wszystkie dni i przez wszystkie noce...

Czytelnik: Przeczytałem Pana felietony w książce. Myślę, że jakaś cząstka Pana zostanie w tym mieście.

Ja: Bardzo duża cząstka. Widzi Pan, jestem człowiekiem chorym, potrzebna mi życzliwość ludzka, w Łodzi jej nie znalazłem — może to moja wina, na pewno to moja wina. Tak, jak moja wina jest to, że tutaj nad brzegiem wszyscy mnie lubią i szanują...

Czytelnik: W każdym razie zostanie tutaj bardzo ważna Pana cząstka. Ale proszę powiedzieć, czy Pan nigdy nie powróci tutaj całkowicie, bez reszty, czy można już Pana pożegnać zupełnie, ostatecznie?

Ja: Myślę, że kiedyś wrócę nagle i niespodziewanie. Tymczasem żegnaj Pana, Panie Czytelniku — tacy jak ja zawsze wracają.

BERNARD SZTAJNERT



Zizi Jeanmaire

Petit, słynny choreograf kierownik baletu Opery Paryskiej. Nowy dyrektor i jego żona słynna tancerka Zizi Jeanmaire postanowili przywrócić dawny blask „Casino de Paris”. W tej chwili wystawiana jest rewia najbardziej kosztowna jaką kiedykolwiek widziano w Paryżu. Koszty wystawy idą w miliony franków. Zakupiono 3

wająca Zizi Jeanmaire. Co najmniej przez dwa lata, każdego wieczoru wszystkie miejsca na widowni muszą być wykupione. W przeciwnym wypadku grozi deficyt. Roland Petit jest optymistą. Twierdzi że rewii nie grozi bankructwo.

VASARELY DLA WSZYSTKICH

„Vasarely pour tous” — pod takim tytułem paryski tygodnik „L'Express” przynosi omówienie ostatniej wystawy Victora Vasarely, artysty którego mнением jest, aby jego sztuka zdobyła fasady domów nowoczesnych miast, aby służyła wszystkim,

VASARELY DLA WSZYSTKICH

„Vasarely pour tous” — pod takim tytułem paryski tygodnik „L'Express” przynosi omówienie ostatniej wystawy Victora Vasarely, artysty którego mнением jest, aby jego sztuka zdobyła fasady domów nowoczesnych miast, aby służyła wszystkim,

Spektakle tygodnia

	spekt.	widz.	proc.
TEATR WIELKI			
„Cyrułik sewilski”	2	2520	100
„Jeziro łabędzie”	1	1260	100
„Zemsta nietoperza”	1	1260	100
„Królewna Śnieżka”	1	1260	100
„Straszny dwór”	1	1260	100
NOWY			
„Życie jest snem”	3	2100	100
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	700	100
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	1	700	100
MALA SALA			
„Rodeo”	1	200	100
POWSZECHNY			
„Ojcowie rodzą się w szafach”	3	1980	100
„Boso, ale w ostrogach”	2	1320	100
„Płaszcz”	1	660	100
JARACZA			
„Płacówka”	4	2040	100
„Ballada o tamtych dniach”	2	1020	100
7.15			
„Jadzia wdowa”	4	1680	100
OPERETKA			
„Pierwiosnki”	6	5640	85
FILHARMONIA			
koncerty symfoniczne	2	880	60
koncert oratoryjny	1	600	85

Przeszłość i terażniejszość

Słyszę te protesty, widzę gesty oburzenia. Jak to — teraz, w dobie permanentnych przejściowych trudności z papierem wydają te to miska sprzed ponad stu lat? Spieszne obliczenie, toż to więcej niż 90 arkuszy wydawniczych! Dalszy rachunek już po cichu: „Gdyby żył, daliby mu pewnie jaką średnią stawkę. Toć to był samouk, żaden mgr, dr, doc. ani prof. Choćby tylko po dwa patyki arkusz. Akurat miałby na Fiata”. Tyle bowiem dostałby jeden z najwybitniejszych naszych dziejopisów sprzed wieku za owoc dwunastoletniej wyjątej pracy, za „Jadwigę i Jagiełłę” — gdyby żył pośród nas. Powiecie: byłby przecież gdzieś na etacie, więc... Racja, ale najwyżej wozne go w szkole wyższej, bo przecież on, Szajnocha, nie zaliczył nawet pierwszego roku studiów. Szajnocha — ależ skąd: Scheinoha von Wtellen sky jak miał w papierach, Szejnocha von Wtellen sky jak się pisał w gimnazjum — kolejnymi zmianami pisowni nazwiska usilnie zacieral ślad swego obcego pochodzenia, sam stał się Szajnochą. Innych dowodów swej polskości nie miał, nad młodzieńczy udział w kółkach patriotycznych, pobyt w austriackim więzieniu, swoje pióro. Literackie i naukowe zarazem.

Nie zmarnował ni pracy ni zdolności. Z pisania niedużych dramatów historycznych — pisze we wstępie S. M. Kuczyński wyniósł znaczne korzyści dla dalszego zawodu historycznego: nauczył się wglębiać w serca ludzkie... „Nie mogąc poświecić się literaturze pięk-

czego nowego nam już nie przed paroma laty rozeszła się wieść o zamierzonym wznowieniu „Jadwigi i Jagiełły” Szajnochy przez Państwowy Instytut Wydawniczy, inicjatywa ta spotkała się z podobnymi reakcjami. A jednak trudno się mi z nimi pogodzić. Nie tylko dla tego, że gdzie indziej dzieje się inaczej niż u nas. Musi być chyba jakaś racjonalna przyczyna, dla której Rosja

gdziejopisa doby romantyzmu — Jules Micheleta — w... zasłużonej serii klasyków francuskiej literatury... Jedynie u nas jest inaczej, u nas, gdzie świadomość historyczna społeczeństwa jest bodaj żywsza niż gdzie indziej. A może właśnie dlatego?

W dziełach dawnych dziejopisów historyk współczesny nie znajdzie nie znanych nowoczesnej nauce faktów. Z góry możemy przewidzieć, że dla naszej wiedzy o strategii i taktyce armii polskiej czy krzyżackiej w dobie kampanii grunwaldzkiej lektura Szajnochy nie będzie miała żadnego znaczenia. Działający stan wiedzy daleko odszedł od tych dawnych ustaleń i koncepcji. Tylko — czy rozwój dziejopisarstwa polega jedynie na prostej kumulacji ustaleń faktycznych? Choć poglądy ten ma wielu zwolenników jest jednak z całą pewnością błędny. W historii najmniej zmieniają się fakty, najwięcej ich oceny. To, że mamy dziś pełniejszy, bardziej wszechstronny i prawdziwy obraz społeczeństwa polskiego z czasów Jagielly wynika nie tylko z tego, że dysponujemy większą liczbą faktów niż na si poprzednicy sprzed stu czy więcej lat. Znacznie donioślejsze znaczenie posiada bowiem okoliczność, że lepiej potrafimy dostrzec ich wzajemne związki, uwarunkowania, że potrafimy skonstruować w naszych dziełach bardziej prawdopodobne niż

dawniej całościowe obrazy minioniej rzeczywistości. Bo wiem postęp nauki, jak każdy postęp dokonuje się w dialektycznym procesie tworzenia i destrukcji coraz to nowych propozycji generalizujących, wyznaczających i wyznaczanych przez szczegółowe dane faktyczne. Pisał o tym niedawno w swej pięknej książce T. S. Kuhn...

Dość dygresji. U dawnych dziejopisów nie znajdziemy nowych, nie znanych dzisiaj historiiografii faktów. Je żeli jednak wracamy do klasyków historiografii to dlatego, że szukamy u nich innych wartości. Stanowią je ich ogólniejsze koncepcje, ich wizje minionych wieków, sposób rekonstrukcji przeszłości, którego elementy potrafiły nieraz zachować swą świeżość po dzień dzisiejszy. Dlatego też dobrze się stało, że staraniem PIW ukazało się wreszcie najwybitniejsze dzieło K. Szajnochy. Byłoby lepiej, gdyby w ślad za nim pojawił się mogły reedycje innych klasycznych dzieł historiografii polskiej. Dziś trafiłyby one częstokroć do szerszych kręgów czytelniczych niż w czasach, kiedy powstały. Wiem, że plany takie są żywo dyskutowane, choć w innym wydawnictwie niż to, które ogłosiło dzieło Szajnochy.

JÓZEF GRZELAK

*) Karol Szajnocha, Jadwiga i Jagiełło 1374—1413. Opowiadanie historyczne, Wstępem opatrzył S. M. Kuczyński, t. 1-4, Warszawa 1969.

Czytając Karola Szajnochę...

nej postanowił nadawać formę może powiedzieć. Kiedyś miałem piękny pióro historycznemu. Uważałem, że historia jest nie tylko nauką, ale również i sztuką. Dostrzegł powinowactwo między tworzącą pracą historyka a twórczością artystyczną. Nasz stosunek do rodzimej tradycji historiograficznej jest co najmniej osobliwy. Pamiętam, jak przed laty, kiedy podjęto reedycję najważniejszych dzieł Joachima Lelewela podniosły się głosy, że jest to przedsięwzięcie najzupełniej niepotrzebne, bowiem Lelewel całkiem już się zestarzał i dziś ni-

nie wznowił niedawno nie tylko klasyczne syntezy Solowjowa i Kluczewskiego, lecz sięgnęli nawet po XVIII-wiecznego Tatyszewa. Czesi przedrukowali Szajnochę i Palackiego. Niemcy wszystkim swym wybitnym dziejopisom dawno wy dali wielotomowe dzieła zebrań, a co cenniejsze ich prace stałe ponawiane wciąż są dostępne na półkach księgarskich. Francuzi wciąż wznawiają nie tylko dzieła Fustela de Coulangesa czy Lognona, ale całkiem niedawno zdobyli się na reedycję najważniejszych utworów swego najwybitniejszego

Uśmiech zabójcy

Zatrzymałem samochód tuż przy chodniku. Frank wysiadł i wszedł do sklepu, aby kupić papierosa. Przede mną, w odległości około czterdziestu metrów, stała czarna limuzyna z zapalonym motorem. Skierowałem mechanicznie wzrok na ta białą rejestracyjną. Numer, który przeczytałem, zaalarmował mnie. Porównałem go jeszcze z listą, którą nosiłem w kieszeni. Nie było wątpliwości. Otworzyłem drzwiczki auta i wyszedłem na chodnik.

Nagle, człowiek przy kierownicy limuzyny wyciągnął rękę, aby otworzyć tylne drzwiczki wozu. Wyjąłem rewolwer z kabury i czekałem.

Z biura wybiegli dwaj mężczyźni. Trzymali w rękach wyceLOWANE pistolety automatyczne. Ten pierwszy miał także w walizce, którą wrzucił do limuzyny. Wymierzylem luz rewolweru w kierunku jego pleców i strzeliłem. Pocisk zatrzymał go, nim zdążył postawić nogę na stopniu samochodu. Uśmiechnąłem się.

Drugi mężczyzna był niski i gruby. Wytrzeszczył przerażone oczy, gdy zobaczył, co go czeka. Znowu strzeliłem. Twarz mężczyzny wykrzywiła się boleśnie, upadł na kolana.

Człowiek przy kierownicy odwrócił się szybko, aby spojrzeć na mnie. Twarz miał zakrytą chusteczką. Lecz nie potrzeba wałem jej widzieć. Równoległe blizny, które szpeczyły powieki, były wystarczającym znakiem. Wiedziałem teraz kim jest, a to zmieniło całą sprawę. Oczy nasze spotkały się na sekundę. Potem zatrzasnąłem drzwiczki i z hałasem ruszyłem. Trzymałem podniesioną luzę rewolweru, celując w szyję bandyty. Gdy zobaczyłem, że osiągnął zakręt, strzeliłem ponad limuzynę.

W tej samej chwili Frank wyszedł ze sklepu, z automatem kalibru 38 w ręku. Strzelił dwa razy w kierunku znikającego samochodu, lecz było już za późno.

Spojrzałem na chodnik. Pierwszy mężczyzna leżał nieruchomo na bruchu. Drugi jeszcze poruszał się, patrząc półprzymkniętymi wokół. Z bezwładnej ręki zwiślał pistolet. Rzuciłem okiem na Franka. Jego uwaga była skierowana na uciekające auto. Przygotował się do nowego strzału. Wycelowałem do kłębiącego człowieka i strzeliłem. Wśliznąłem się do naszego wozu i zatrzasnąłem drzwiczki.

Zajmij się tymi dwoma, Frank! — krzyknąłem. — Chcę złapać tego, który uciekł. Niedługo zobaczyłem przed sobą ciemną limuzynę, skręcała w boczną ulicę. Pojechałem dalej w prostej linii. Po kilku minutach zgasiłem syrenę i zatrzymałem samochód. Połączyłem się z naszą centralą i opisałem wygląd limuzyny, lecz nie podałem numeru tabliczki rejestracyjnej.

Gdy wróciłem przed biuro wymiany, stały tam już trzy auta policyjne. Kilku funkcjonariuszy pilnowało porządku i rozpoczęło tłum gapiów. Frank był wewnątrz biura i rozmawiał z niskim, łysym człowiekiem w średnim wieku. Zbliżyłem się do nich.

Niestety, strachem go z oczu, Frank.

Lecz dwóch nie straciłem, przygotowales ich do prosekatorium. To ci chyba wystarczy do szczęścia. — Mówiąc to Frank przyglądał mi się badawczo. Potem odwrócił się do niskiego człowieka. — To jest pan Mader, dyrektor biura.

Skloniłem się. Nazywam się sierżant Al Williams.

Twarz Madera była biała. Ręce mu drżały. — Zabrali prawie sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Dziś jest piątek, dzień wyplaty. W piątek mamy zwykle więcej pieniędzy.

Nadjechała karetka pogotowia. Wyszli dwaj pielęgniarze i czekali ze złożonymi noszami, aż fotograf policyjny ukończy swą pracę. Frank zapał papierosa i kontynuował badanie.

Panie Mader, pańskie biurko znajduje się w pobliżu okna. Musiał pan widzieć twarz przestępcy, który siedział przy kierownicy.

Wybłąkłe oczy łyszego mężczyzny biegały niespokojnie.

Niestety, nie przypominam sobie wyglądu kierowcy. Wszytko stało się tak szybko — wyjaśnił tonem usprawiedliwienia.

Frank zwrócił się teraz ku mnie z wyrazem zapytania w oczach. Wzruszyłem ramionami: — Widziałem tylko jego szyję i zarys głowy. Zrobił na mnie wrażenie zwykłego, niczym nie wyróżniającego się człowieka. Mógł mieć sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ciemne włosy, waga około osiemdziesięciu kilogramów.

To wszystko, co powiedziałem, było dość prawdziwe.

Mader popijał wodę z papierowego kubka.

Weszli kilka minut po otwarcu biura — rzekł. — Ten wyższy podszedł do mego biurka. Drugi został przy drzwiach. — A dzwonek alarmowy?

Mader potrząsnął przecząco głową. — Wysoki bandyta przyłożył mi rewolwer do pleców i zagroził, że strzeli przy najmniejszym poruszeniu. Na pewno by tak zrobił.

Wszedł porucznik Phillips. Spojrzał pytająco na Franka i na mnie. Zaczęłam opowiadać od początku.

Piętnaście minut temu zatrzymałem wóz przed sklepem, ponieważ Frank chciał kupić papierosa. Podczas gdy on był w sklepie, ja obserwowałem to, co się tu działo.

Mówiąc to spojrziałem zezem na Franka.

Gdy zobaczyłem, że z biura wychodzą dwaj podejrzani mężczyźni, krzyknąłem, aby zatrzymali się i podnieśli ręce. Nie usłuchali mnie i chcieli uciekać... Dlatego musiałem strzelać.

Phillips zwrócił się do Franka:

— Czy tak było naprawdę?

Twarz mojego kolegi niczego nie wyrażała.

— Byłem w sklepie — odpowiedział — i nie mogłem wiele widzieć. Spojrzałem na niego i do dał: — Nawet nie słyszałem wcale.

Phillips uśmiechnął się kwaśno. — Ile razy strzelił do ciebie, Al?

Znowu wzruszyłem ramionami. — Nie czekałem, aż zaczął strzelać pierwszy.

Porucznik długo mi się przyglądał.

— Wróż z tymi, co leżą na chodniku masz już na koncie sześciu zabitych od czasu, jak wstąpiłeś na służbę do naszej policji.

* * *

Godzinę później Frank i ja zapowiadaliśmy Madera do Centrali, aby przejrzał fotografie recydywistów. Oparłem się o okno i niepostrzeżenie przyglądałem się Maderowi, który powoli przewracał kartki pierwszego albumu. Palec jego prawej ręki wskazywał na jedną z fotografii na drugiej, jakby uczył się sylabizować.

O godzinie jedenastej przyniosłem czwarty album i dalej obserwowałem Madera. W momencie, gdy osiągnął stronicę, na której była twarz Charley'a O'Hara, znalazłem się tuż za jego plecami.

Palec Madera zatrzymał się przez chwilę na twarzy zespanej bliznami na prawej powie

ce. Potem przesunął się dalej. Wróciłem do okna i zapaliłem papierosa. Frank przybył po kilku minutach.

Zidentyfikowaliśmy jednego, mamy odciski w naszym archiwum. To jest Edward Riley, ten, do którego strzeliłeś dwa razy.

Miał broń w ręku.

— Nie mógłby zrobić z niej użytku! — wybuchnął Frank.

— Dokładnie to widziałem.

— Nie możesz o tym wiedzieć, Frank. A poza tym lubię decydować szybko.

Mader spędził pół dnia na oglądaniu fotografii, lecz niczego nie stwierdził. O trzeciej po południu pozwoliliśmy mu odejść. O piątej Frank i ja skończyliśmy służbę. Wyszliśmy razem. W pobliżu parkingu Frank zapytał mnie niespodziewanie:

— Co cię skłoniło do wybrania tego zawodu, Al? Czy dobra placę, czy też perspektywę szybkiej emerytury? A może „karta myśliwska”, która legalizuje twoje zabójstwa?

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

— Nie rozumiesz Frank. Dlatego wybrałem zawód policjanta, gdyż chciałem bronić słabych i niewinnych... To wszystko.

Patrzyłem jak wsiał do swego samochodu i oddalił się.

Dopiero wówczas wziąłem mój wóz. Jechałem w kierunku nowego zbudowanego osiedla w North Side. Niedługo znalazłem dom, w którym mieszkał Charley O'Hara. Zatrzymałem się. Otworzył mi drzwi właściciel. Stał w progu, twarz miał na piętą i nieufną.

— Czego pan chce teraz? — zapytał.

Uśmiechnąłem się łaskawie.

Tylko mała kontrola, Charley. Dużo pracowałeś dziś w laboratorium?

Spojrzał spoje łba. — Nie, miałem wolny dzień.

— Dlaczego tak na mnie dzwonię patrysz? Może wejdziesz do środka i pogadamy trochę?

Charley opanował się. Wszedłszy do salonu, usiadłem w fotelu.

— Ładne mieszkanie, Charley. Żeby nie te wielkie raty za dom, prawda? Ciężka sytuacja, gdy się ma na utrzymaniu żonę i dwoje dzieciaków. Dotknij ręką fotela i zapytaj: — Czy i to na raty?

Wściekłość zabiła mu w oczach, lecz nie odpowiedział. Skrzyżowałem wygodnie nogi.

— Gdzie jest twoja żona i dzieci?

— Pojechały do rodziców — powiedział Charley.

— Przypuszczam, że mnie oczekiwales, prawda?

Nie odpowiedział.

Przeczekałem minutę i zacząłem atakować. — Jednym z twoich kompanów był Ed Riley. A drugi?



Zapałł papierosa drżącymi rękami i wypuścił kilka kłębow dymu. — O czym, u diabła, pan mówi?

Potrząsnąłem głową. — Ależ Charley, wcale mi nie jesteś wdzięczny! Mogłem przecieć jedną kulka roztrzaskać ci głowę. Przestań grać w klucubabkę! Wiedziałem cię dziś rano i ty mnie widziałeś. Obaj dobrze o tym wiemy.

Oddalił się ode mnie o kilka kroków i stanął przy oknie. Wreszcie odwrócił się. — Dlaczego pan do mnie nie strzelał? Uśmiechnąłem się znów. — Pytasz się. A czy jeszcze nie znalazłeś odpowiedzi?

— Przypuszczam, że chce pan połowę pieniędzy. Czy tak?

— Nie Charley, chcę wszystkie.

— Jdź do diabła! — krzyknął rozpaczałiwie.

— Chcę wszystko — powtórzyłem spokojnie. Co do grosza.

Wszystko, co zabrałeś dziś rano. Albo mi dasz pieniądze, albo wezmę ciebie. Twoja żona i dzieci bardzo odczuwają brak twojej osoby, zapewniam cię, Charley.

Zostawiłem mu trochę czasu, aby przetrwał moje słowa. Wreszcie rzekł cicho: — Pieniądze są w piwnicy.

Wyjąłem rewolwer z pochwy: — Dobrze, pójdziemy tam zoba

czyć. Ale uważaj na to, co robisz, Charley!

Szedłem za nim po schodach. Znaleźliśmy się w małej graclarni. Charley podszedł do półki w ścianie i wyciągnął stamtąd walizkę. Odebrałem mu ją i wskazałem na krzesło.

— Siadaj tu, muszę policzyć pieniądze.

Opróżniłem walizkę i zacząłem liczyć. Gdy skończyłem, rzekłem:

— Tu jest tylko trzydzieści tysięcy. Gdzie druga połowa?

Uśmiechnął się. — To wszystko, co mam. To jest moja część.

Jakiś znajomy głos oderwał się nagle za moimi plecami:

— To znaczy, że druga połowa jest u mnie.

Wzdrygnąłem się. Głos mówił dalej: — Sierzanie, proszę nie dotykać rewolweru... Proszę się powoli odwrócić!

Mader trzymał w ręku pistolet automatyczny. Oczy mu błyszczały. Zobaczył zdziwienie na mojej twarzy, skinął głową. — Tak, sierzanie, i ja w tym byłem.

Próbowałem wstać. — Poczekać chwilę, możemy podyskutować, znaleźć jakieś wyjście.

Lecz Mader tylko uśmiechał się... Tak samo uśmiechał się ja, gdy zabijałem człowieka...

Oprac. A. S.

Od niedzieli do niedzieli

Melania Kierczyńska czyli dwie książki i jedna prawda

EGOTYKI I REALIZM — PEŁNIA OSOBOWOŚCI TWÓRCZEJ — CZY MOŻNA WINIĆ CZAS? — LUDZKIE NIEPOKOJE — „SŁOWA NIEMOCNE SĄ...” WIERZĘ W PASJĘ.

Surowa twarz w okularach o niemodnej już oprawce, siwe włosy zczesane na boki... Melania Kierczyńska wygląda na tej fotografii jak stara nauczycielka. Fotografowała się chyba rzadko — pamiętam to zdjęcie z tygodnika „Nowa Kultura” — umieszczono je obok jej artykułów krytycznych, była wówczas rzeczywiście surową nauczycielką, zapiętą na ostatni guzik pryncypiów. Była zresztą

nauczycielką naprawdę — w młodości słuchaczka Kursów Pedagogicznych J. Milkowskiego, studiowała chemię i filozofię w Bernie i Zurychu, potem skończyła polonistykę.

Była też naprawdę komunistką i nic w jej pracach krytycznych, które po latach pobrzmiwają echami socrealizmu, nie było skłamań. I nie są skłamań jej wiersze — tak bardzo ludzkie, pełne zagubienia i wątpliwości —

choć jej działalność krytyczna lat pięćdziesiątych wątpliwości nie znała.

Czterdzieści pięć stroniczek — maleńka książeczka wierszy Melanii Kierczyńskiej. Za myślam się nad cieniutką książeczką „Egotyków z lat wojny”

„...Słowa niemocne są, ich siła żadna i miłość jest bezsilna i tak nieporadna...”

Proste to — prawdziwe i tak po ludzku bezradne — słowa miłości do córki zagubionej gdzieś (gdzie?) we wnętrzu okupacyjnej nocy.

I wbrew pozorom nie ma żadnej sprzeczności między garścią tych osobistych wierszy, między tym zdławionym krzykiem bezsilnej matki, a surowym, zasadniczym i — chyba nieco dogmatycznym — „Sporo o realizm” z lat pięćdziesiątych.

Odnalazłem ów „Spór o realizm” w bibliotece. Na karcie tej książki wydanej dziesięć lat temu odnotowano tylko dwu czytelników. Ale w latach „Nowej Kultury” czytali wszyscy artykule krytyczne Melanii Kierczyńskiej. Nie wiem jak

oceni historia literatury tamte prace, ale w tych wierszach „w tych okrucinach jawi się nam Melania Kierczyńska jako ktoś bliższy, mniej szczerze zapięty na ostatni guzik precyzyjnie wyważanych argumentów...”

Pozwoliłem sobie na cytat z postawia Ryszarda Matuzszewskiego z innej — także pośmiertnie wydanej — książki Kierczyńskiej, bo zarówno tamte okruciny krytyczne z tomu „O sprawach nieobojętnych” jak i te, dopiero co opublikowane wiersze, dają nam pełnię jej osobowości twórczej.

To prawda — pisała w „Sporze o realizm”: „Nie chcemy mieć w sobie Sartre'ów i Millerów”. Pisała o „Dwóch teatrach”: „Cała ta budowla uzupełniającego realizm irracjonalizmu, wzniesiona w sztuce Szaniawskiego, jest przysłowiowym domkiem z kart, rozpadającym się przy dotknięciu analitycznej myśli”. Myliła się, nie miała racji — powiemy dzisiaj.

A może inaczej? Może właśnie miała swoją krytyczną rację i swoją rację komunisty z tamtych lat pięćdziesiątych? Może miała swoją ra-

cję historyczną? Bo przecieć „Spór o realizm” jest dziś książką historycznych już przemyśleń, fascynacji i osądów, z których wiele nie wytrzymało próby lat. Czy można o to winić Melanię Kierczyńską? Czy można o to winić czas, który też jest kategorią historyczną?

Leżą przed mną dwie książki. Tamta sprzed dziesięciu lat, wydana w nakładzie siedmiu tysięcy egzemplarzy, licząca blisko dwieście stron surowych ocen i postulatów — i ta wydana niedawno w nakładzie sześciuset egzemplarzy, licząca czterdzieści pięć stroniczek autentycznej poezji.

W obu tych książkach, oddzielonych latami, śmiercią autorki, czasem, który przewartościował tak wiele, Melania Kierczyńska jest sobą. Jest człowiekiem, uwikłanym w trudną epokę i sprawy tej epoki... W pierwszej książce myliła się nieraz, ponieważ zawierzyła racjom chwili.

W drugiej książce nie myliła się wcale, ponieważ wypowiedziała p o n a d c z a s o w y ból ludzki, niepewność, bezsilność, te wszystkie ludzkie i mat-

czyne niepokoje... Nie wiem, kto i kiedy znów sięgnie na półkę biblioteczną, aby jako czwarty w ciągu iluś tam lat czytelnik, przeczytać „Spór o realizm”. Wiem, że po „Egotyki z lat wojny” wyciągną się ręce czytelnika prawdziwej poezji, choć szczypta to książka i mikroskopijny nakład.

Być może wiedziała o tym także Melania Kierczyńska, bo przecieć w latach 1958—1961, kiedy zamilkła jako krytyk, kiedy odeszła od swej pracy teoretyczno-krytycznej — wróciła znów do wierszy. Nie była to ucieczka, było to odejście pełne godności i konsekwencji. W jej długim życiu komunistki nie było wiadczeń miejsca na łapanie wiatru w żagle i gwałtowne przestawianie steru.

Dlatego wierzę w pasję Melanii Kierczyńskiej, bijącą z kart „Sporu o realizm” i wierzę w autentyczny tragizm „Egotyków z lat wojny”. Mogła się mylić jako krytyk — ale jej przemyślenia nie były skłamań. Nie myliła się jako poetka i jej wiersze są wstrząsające.

JERZY WIDOK